BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO



ANDRZEJ STRUG

ICH SYN

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO

WYCHODZI 10, 20 I 30 KAŻDEGO MIESIĄCA.

REDAKTOR I WYDAWCA: *IGNACY PŁAŻEWSKI.*

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
WARSZAWA, UL. NOWOWIEJSKA 27, TEL. 219-10

PRENUMERATA WYNOSI:

Kwartalnie	(9 tomów)	3 zł. 60 gr.
Półrocznie	(18 „)	7 „ 20 „
Rocznie	(36 „)	14 „ 40 „

z przesyłką pocztową.

Egzemplarz pojedyńczy 65 groszy.

ROK I

TOM XII

ANDRZEJ STRUG

Ich syn

Mogiłka, Pan i parobek

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO

1 9 2 5

Ich syn.

Oddawna już milczeli oboje, wsłuchani w dalekie głosy derkaczy, nawołujących się po łąkach, i w jeszcze cichsze, ledwo dosłyszalne dla duszy szeptanie gwiazd. I on i ona słyszeli w tych odgłosach nieprzebraną mnogość żywych, własnych myśli. Łudzili się, że w tych nikłych, dolatujących do nich poszeptach nocy wypowiada się to, co zostało jeszcze między niemi niedopowiedziane i niewyrażalne.

Ona pragnęła, żeby ktoś za nią potrafił powiedzieć mu, jak ona go kocha, jak drży o niego i jaka to męka zaczęła się dla niej od chwili, kiedy jej oznajmił, że — idzie. Chciała, żeby wiedział, że ona zupełnie nie potrafiła mu wszystkiego o sobie opowiedzieć. Chciała, żeby on wiedział wszystko, wszystko, co ona czuje. Tego, co odbywało się w niej przez trzy dni ostatnie, niepodobna było wyrazić, choć byli ze sobą ciągle razem i wciąż mówili tylko o sobie i o swojej miłości. I zdawało jej się, że Michał patrzy na nią chwilami z wyrzutem i z cichym, pełnym goryczy żalem. — Bo nie wie, co się we mnie odbywa, Bo nie potrafię zupełnie mówić — bo nie warta jestem jego...

Dla czego on się nie domyśli wszystkiego? Ja nie umiem powiedzieć, ale on przecie powinien to wszystko odczuć...

I ufała, że ta cicha noc zbliży ich, że w tej ostatniej chwili pożegnania zajdzie coś takiego, co zespoli ich ze sobą i wypowie mu wprost do duszy wszystko, wszystko...

A on miał złudzenie, że ona wyczuje teraz właśnie to, czego nie rozumiała aż dotychczas. Że w tej ostatniej chwili jakiś tajemniczy cień, czuwający nad niemi wśród nocy i nie opuszczający ich ani na krok, szepnie jej prawdziwe słowo: On nie wróci! Napatrz się na niego, żebyś mogła pamiętać! A pożegnajże go uczciwie, żebyś nie żałowała potym, po niewczasie, przez całe życie!

Siedzieli w milczeniu. Upływały drogocenne chwile ich ostatniego wieczora. Michał wiedział, że niebawem w czarnej alei rozlegną się ciężkie, szurgające kroki dwojga starych. Zacznie się poczciwa, nudna, wzdychająca rozmowa o tej krwi, nadaremnie przelanej, o zdradzie dyplomacji europejskiej, o ciężkim podatku narodowym, o niewdzięczności chłopa... Jeszcze raz będą wychwalać jego cnoty obywatelskie i „nadludzkie" męstwo, jeszcze raz będą próbowali odwieść go od „szaleństwa".

Stary Nieławicki będzie perorował, stara będzie chlipała, a panna Maryla będzie siedziała milcząca i nikt nie odgadnie, co ona myśli.

— Panno Marjo... Rozstaniemy się dzisiaj i kto wie... kto to wie, kiedy się spotkamy?

I ani słowa więcej! Z całej siły powstrzymywać musiał swój ból. Wydzierały mu się słowa szczere. Okropna prawda, którą dźwigał w sobie oddawna, a która o tej godzinie stała się jeszcze oczywistsza, bardziej niż kiedykolwiek domagała się wypowiedzenia. Za chwilę będzie zapóźno — mów!

Wiedział, że powiedzieć tego nie można i niewolno. Któż mu uwierzy, jeżeli zapowie, że zginie? Jakim prawem ma ją dręczyć w tej ostatniej chwili i zatruwać jej i tak ciężkie tygodnie czekania? Czy chce jej przysporzyć łez i cierpienia?

Nie. Ale wobec powagi śmierci powinny już zniknąć wszelkie względy. Dość było o nich pamiętać przez całe życie. Formy, względy, rozwaga,

„należy i nie należy“, poprawność, przyzwoitość, logika — kobieta a mężczyzna...

Jakąż niewolą jest życie, jeżeli nawet w godzinę śmierci...

Ta kobieta, która nie wie, że nigdy nie będzie jego żoną, martwi się teraz, a na pocieszenie myśli o szczęśliwych czasach, kiedy już po wszystkich burzach, wspominając z dreszczem przebyte cierpienia, będą razem we dwoje przez długie lata...

I niepodobna jej powiedzieć, że nie zobaczą się już nigdy, że pomartwi się, popłacze, poczeka rok, drugi i — wreszcie, po przyzwoitej żałobie, ktoś szczęśliwszy, ktoś żyjący, ktoś inny zostanie jej mężem. Jakże jej to powiedzieć, że tamtego będzie również kochała, że dla niego będzie miała pocałunki, promienne spojrzenia...

Że ten obecny będzie istniał jeno jako ciężkie wspomnienia, jako dawne, obumarłe i z każdym dniem coraz mniej bolące cierpienie — a wreszcie nie zostanie z niego nic. Inaczej być nie może i nie powinno.

To sprawa życia — ale jakże trudno to zrozumieć temu, kto umiera!

Należało postąpić rozumnie. Trzeba było zaraz pierwszego dnia po przyjeździe powiedzieć: idę do partji, wiem, że nie wrócę, i oto twoje słowo, oto twój pierścionek z turkusem. Nie można się wiązać z trupem. Kocham cię zawsze i odchodzę!

To byłoby ciężkie na razie, ale byłoby to rozumne. Byłaby męka i gorycz, ale nie takie, jak teraz. Nie miałby w sobie tego ustawicznego, niedającego się ogarnąć udręczenia, nie miałby tych dzikich pretensji do biednej, niewinnej dziewczyny. Poszedłby od niej złamany, ale z dawną miłością w sercu, poszedłby ponury i samotny, ale zacząłby nareszcie być tym, czym być powinien wobec bliz-kiej a nieuniknionej swojej śmierci.

To byłoby rozsądne i męskie. Ale rozsądnym byłoby również nie iść wcale do partji. Rozsądnym byłoby przedewszystkiem — drwić z przywidzeń i niedających się uzasadnić przeświadczeń, że zginie. Kto mu to powiedział?

Nie po raz pierwszy usiłował zadrwić z tych rzeczy tajemnych i niedocieczonych — ale i za tym razem, natychmiast, jak tylko poważył się o tym pomyśleć, zmroziło go ostre spojrzenie nieznajomego, straszliwego oblicza. Był to bowiem ktoś, który wiedział już wszystko. Ten się nie myli. Z nim niema dyskusji. Jego groźnym spojrzeniom można tylko wierzyć...

— Tak, zginę. Wiem o tym i idę. Wiem, że na nic się nie przydam straconej sprawie, a jednak pójdę. Wiem, że mam prawo tego nie czynić, wiem że mam prawo żyć i zostać z Marylą. Ale wiem i to, że nic i nikt mnie nie powstrzyma od spełnienia woli tajemniczego ducha, który mnie pcha ku śmierci. Ta wola jest już moją własną wolą i moją nieprzepartą żądzą.

— To czego chcesz od dziewczyny? Poco dręczysz i ją i siebie? Pożegnaj ją i idź, dokąd cię ciągnie.

— Czego od niej chcę? Żeby mnie zrozumiała. Chcę, żeby wszystko odgadła.

— Poco ci to już teraz?

— Bo ją kocham. Nigdy jej tak nie kochałem, jak właśnie teraz.

— I gdzież tu sens? Zostań!

— Nie.

W ostatnich czasach Michał godzinami toczył ze sobą podobne rozprawy. Nie walczył już ze sobą, bo wiedział z góry, jak postąpi — usiłował tylko ogarnąć w sobie te pochłaniające żądze i tajemne nakazy, które go pchały ku śmierci. Ale wiedział, że było to wszystko nadaremne. I wiedział, że to

jest już teraz zupełnie niepotrzebne. To też męczące jego myślenie było jakby mimowolne, nie przerywało się jednak ani na jedną chwilę.

Nie miał komu powierzyć tych swoich tajemnic i nie umiałby ich zresztą wypowiedzieć. Nie próbował nawet mówić o tym z narzeczoną.

— Panno Marjo... Gdybym nie wrócił... Nie chcę pani dręczyć, ani pytać o nic. Chcę, żeby pani wiedziała — że ja chcę tylko pani szczęścia. Czy będę — czy nie będę — niech pani będzie szczęśliwą. Jedni umierają — odchodzą — znikają. Niechże ich wspominają ci, co pozostaną. Niech oni mają w ludzkiej duszy swój zakątek, jakąś swoją rocznicę, od czasu do czasu jedno westchnienie. Tego dość, to umarłemu zupełnie wystarczy. Niech idzie swoją koleją życie. Niechże ten umarłe-gnijący gdzieś pod ziemią, nie przeszkadza ludzkiemu szczęściu. Niech mi pani przyobieca...

Maryla zerwała się z ławki.

— Niewolno panu! Ja nie pozwalam ani słowa więcej! To niegodziwe, okrutne...

Nie umiała i nie mogła nic więcej powiedzieć. W ciemnościach rozległo się szlochanie.

Michał ukląkł i przytulił usta do jej rąk. Dziękował jej za to, że nie chciała być rozsądną, że odepchnęła ze wstrętem to zaofiarowane szczęście, którego dla niej tak gorąco pragnął, które jej dawał najszczerzej z głębi duszy. Pomimo zupełnego wyrzeczenia, w tej swojej nieprzebranej w poświęceniu miłości, zabijała go straszna, nieprawdopodobna myśl, że po nim kiedyś, — ktoś inny... Nie dziwiły go żadne sprzeczności. Już niczego nie pragnął więcej. Rozpłynął się cały w jednym momencie uwielbienia i wdzięczności i żalu za tym jej szczęściem.

W owej chwili uciszyły się targające, trudne myśli i sprzeczne uczucia. Zaczynał się w duszy

niespodziewany spokój. Z mroków cierpienia wyłaniała się nareszcie jakaś prawda. Już przeczuwał blizkość momentu, kiedy pogodzi się jego ofiara z pragnieniem własnego szczęścia. Widmo nieuniknionej jego śmierci przestanie go dręczyć i spojrzy z pogodnym uśmiechem na pozostające przepiękne życie. Jeszcze chwila — a powstanie od stóp ukochanej jako ten, który już wszystko w sobie zrozumiał, przecierpiał i pogodził. Zdobędzie to, czego mu brakło — męstwo...

Ale w czarnej alei już się rozległy pośpieszne kroki.

— Marylko! Panie Michale!

— To mama...

Michał po raz ostatni mocno, mocno wtulił twarz w jej dłonie. Wiedział, że to już jego ostatnie pożegnanie, bo nązajutrz o świcie wyruszał.

Powstał i poszli na spotkanie matki.

— Panie Michale, nie pojedzie pan jutro...

— Pojadę, pani — muszę!

— Nie pojedzie pan — bo już niema poco. Straszna katastrofa!... Niema nad nami miłosierdzia boskiego... Same klęski — a ta chyba najokropniejsza... — Pani Nieławicka, mówiła szybko, przerywanym głosem, przez łzy.

Maryla ujęła pod ramię narzeczonego i wśród ciemności przytuliła się do niego z całej siły.

— Są wiadomości od Rataja?

— Rozbite wszystko, wymordowane, rozpędzone. Mazów spalony! Okropne rzeczy się działy! Prawie nikt nie uszedł! Zabici obaj Zalescy, Karłowicz, Janek Zwierzchowski — jedyny syn! Nieszczęsna ta matka. Jutro pojadę ją przygotować, a jeżeli będzie można, to i zawiadomić. Tylko jak ja tam pojadę? Jakże ja to powiem?

— Trzeba, proszę matki, czekać na pewniejsze wiadomości. Po każdej potyczce opowiadają takie rzeczy. List jest? Od kogo?

— Jest list. Jest. Zobaczysz go sam. Jest człowiek, który tam był i na własne oczy wszystko widział. Cudem ocalał. Znękany, zmordowany, jak widmo...

— Ranny?

— Nie, Bogu dziękować.

— A jaki on jest? Kto?

— Jakiś Guciewicz, urzędnik z Garwolina. Dzielny, porządny człowiek. Sama prawda mu z oczu bije!

— Nie mówię, żeby łgał, ale w popłochu niejedno się wydaje. Może też uciekł przed końcem, — a może na samym początku trzeba się rozpytać szczegółowo...

— To się rozpytuj, panie Michale, owszem, owszem. Tylko nie krzywdź uczciwego człowieka! Skąd wiesz, co za jeden? Ja starsza od ciebie i na ludziach się znam. Pan Guciewicz mówi prawdę!

— Kiedyż to było?

— Przedwczoraj napadli niespodziewanie — pewnie znów jaka zdrada. Bili się przez kilka godzin. Niesłychane męstwo! Ale cóż — było dziewięciu na jednego, jak zawsze — i armaty. Śladu nie zostało z wielkiej partji! Okropny rozlew krwi. Boże, Boże!

W lamencie pani Nieławickiej, w jej niezmiernym, gorączkowym podnieceniu przebijała wyraźnie nieświadoma radość. Ktoś słuchający zdaleka, sądząc z intonacji jej głosu, przypuszczałby, że opowiada jakąś radosną nowinę. Maryla tuliła się coraz mocniej do ramienia narzeczonego. Po policzkach spływały jej łzy bólu nad tą nową klęską. Była w tych łzach i tajemna, niedozwolona, mocna i szalejąca radość, bo ta klęska oddawała jej z powrotem ukochanego.

Wiadomość ta wzburzyła do dna zbolałą duszę Michała. Ze zgrozą i z nienawiścią ścigał w sobie

obmierzłe echo, które powstało w nim — po pierwszym wrażeniu tego, co usłyszał przed chwilą. Tam, gdzieś w głębinie, w mrocznym, najtajniejszym zakątku, gdzie za siedmiu zamkami, w ciężkich okowach zawarł na wieczną niewolę swoje własne ludzkie szczęście — ozwał się teraz urwany okrzyk radości. Zbuntował się w swoim lochu niewolnik. Dźwięczą szarpane kajdany. Nie ostaną się ani kraty, ani mury, ani okute drzwi, prowadzące z ciemnicy na słoneczny świat boży. Wydrze się oszalałe szczęście — i już mu nie da rady. Już po raz drugi nie przezwycięży siebie. Ulegnie, upodli się — a potym zapomni — a potym i tak umrze — kiedyś, kiedyś...

Pan Guciewicz pożerał z przykrą łapczywością kolację, którą przed nim zastawiono. Jadł i opowiadał przerywanym, chrapliwym głosem, z gorączką w oczach. Nawet się nie przywitał, nawet nie spojrzał, kiedy weszli Michał z Marylą. Usiedli oboje przy stole i słuchali. Pan Nieławicki siedział z twarzą, ukrytą w dłoniach. Po łysej głowie chodziły mu muchy, ale stary nie czuł nic, zapamiętawszy się w zgryzocie. Dwie świece chwiały się na stole od przeciągu, bijącego od otwartego okna, i obtapiały się, świecąc mizernie żółtemi kopcącemi płomykami.

Był to młody dwudziestokilkoletni brunet, wymizerowany, jak cień, z dzikim zarostem, ze skudloną głową. Znać było na nim wszystkie trudy i nędzę pochodu i szaleństwo klęski. Czarna, brudna ręka chciwie raz po razu sięgała do kieliszka.

— „...Cały rynek już się palił. Dym, swąd, gorąco... Wypadamy kupami z domów i do mostu! Wązka uliczka, stroma, z pieca na łeb spuszcza się do rzeki — niewiadomo skąd się tam wzięła kupa sołdatów. Coraz ich więcej wypada z chałup, gdzie rabowali. Biegniem razem z niemi, pomieszani ze sobą, na wyścigi do mostu. Most się już pali, nasi rąbią deski — ścisk.

Naczelnik nie puszcza nikogo — jaki taki kładzie się i strzela — reszta pcha się do mostu.

Przewrócili naczelnika, podeptali. A my strzelamy. Przed nami o sto kroków leżą sołdaty i do nas... A tu wywala się z uliczki straszna masa sołdatów, więc my w nogi przez popsuty most, przez ogień. Aby do lasu, aby do lasu! Tymczasem..."

— Rataj ocalał? — przerwał mu Michał.

— Akurat! Kartacz mu przez pół głowę oberwał. Pan wiesz, jak to w lesie, kiedy kartaczami walą? To gorsze, niż w otwartym miejscu, Co za strach! Gwizd, huk, trajkot! W głowie trzeszczy, zgrzyta... Tego nikt nie wytrzyma dłużej, niż na jakie pół godziny! Jak tylko padł naczelnik, poszło wszystko hurmem w las. Idziem z dobrą godzinę. dźwigając rannych, a tam precz jeszcze walą za nami z armat...

— A wielu was wyszło cało? — spytał Michał.

— W lesie było nas jeszcze ze czterystu.

— A potym co?

— Potym? Nic. Jedni poszli naprawo, a reszta nalewo.

— A pan?

— A ja zbłądziłem. Znalazłem potym na wygonie spętanego konia, zabrałem go i jechałem dalej na oklep. Szkapa mi ustała, a potym w nocy padła gdzieś w szczerym polu. Szedłem przed siebie po omacku, cały dzień przespałem w lesie o głodzie, pod wieczór wylazłem, a teraz tu jestem.

— Gdzie też o tej porze może być partja?

— Jaka partja? Żadnej partji niema.

— Mówiłeś pan, że w lesie było jeszcze ze czterystu ludzi w kupie. Przecież nie wszyscy zbłądzili?

— Hola, panie obywatelu ziemski! Dosyć tego świdrowania oczami! Ja tu się przed tobą nie będę spowiadał! Dobrze ci w domu za piecem, pod pierzyną — a ja od dwóch miesięcy na łóżku nie

spałem, w sześciu potyczkach byłem, zawszem nie dojadł, ani razum nie dospał... Czego odemnie chcesz? To ja uciekinier? Tchórz? Dobrze jaśnie państwu w bezpiecznym dworze — a ja co? Niebezpieczny przybłęda, niechluj, mnie wszy jedzą...

— Ale dajże pan spokój, przyjmujemy cię, jako drogiego gościa, przygarniemy, dopomożemy, przechowamy cię, dopóki będziesz chciał...

Pani Nieławicka zbliżyła się do niego, objęła go za głowę i, pomimo odrazy wobec jego niechlujstwa, pocałowała go w czoło.

Pan Guciewicz rozpłakał się rzewnie.

— Pani droga! Matko rodzona! Mnie tu nie wierzą, mnie obrażają — patrzaj na moją nędzę, matko dobrodziejko...

Szybko wstał, rozpiął kurtkę i, nie zważając na obecność pań, odgarnął łachmany czerwonej koszuli i odsłonił czarną jak smoła pierś, suchą jak deska.

— My tam wszyscy tacy — polscy rycerze, ginący bez nadziei i bez sławy. Kto nas będzie pamiętał? Kto nas pożałuje? Jedna śmierć nas przygarnie, jeden Bóg nam policzy...

I pan Guciewicz zaniósł się od płaczu. Pocieszano go, przepraszano. Było dla wszystkich oczywiste, że biedak jest wyczerpany do ostateczności i nawpół przytomny po przebytych wrażeniach — a do tego jeszcze kilka kieliszków starki na pusty żołądek... Przez jakiś czas bełkotał jeszcze słowa bez związku, wreszcie oparł głowę na stole i w jednej chwili usnął. Michał z panem Nieławickim musieli go zadźwigać do dalekiego pokoiku i tam złożyli go na kanapie.

— No i co, panie Michale? — zaczął stary dziedzic, kiedy powrócił do stołowego pokoju.

— Nic. Biedny człowiek.

— Takie jest to całe nasze nieszczęsne powstanie. Zaledwie z trudem i z mozołem, z niesłychanemi kosztami i z poświęceniem zbierze się kupa ludzi, zanim się uzbroją i oswoją — spada klęska i idzie wszystko na cztery wiatry. Tylko krew i zniszczenie — giną tysiące najdzielniejszej młodzieży, płoną wsie i miasta... I tak w kółko, w kółko, jota w jotę wszędzie i zawsze tak samo. I ty chciałeś iść...

Pani Nieławicka serdecznie, po macierzyńsku ucałowała w głowę swego przyszłego zięcia.

— Odzyskaliśmy cię, drogi panie Michale. Jakażby z tego była korzyść dla kraju, gdyby i twoja krew polała się tam pod Mazowem? Ocalił cię tylko ślepy traf, parę dni opóźnienia.

— To nie traf, a wyraźnie Opatrzność boska, to jest wyraźny cud — za który do końca życia powinniście oboje z Marylą Panu Bogu dziękować! Moje dzieci, moje drogie dzieci.

Stary miał łzy w oczach. Był strapiony i rozczulony. Wielki ciężar spadł mu z serca. Nieśmiało, ukradkiem spoglądał na przyszłego zięcia, bojąc się, żeby ten nie dostrzegł jego radości. Naumyślnie wzdychał, wyrzekał i usiłował pocieszać Michała.

Rozmowa się nie kleiła. Michał stał pod oknem, patrzał w noc i uparcie milczał.

— ...Klęska, zatracenie... To już jest koniec. Ale to sobie każdy z nas może powiedzieć, że wszystko, co było trzeba, tośmy robili. Żeby tak każdy spełniał swoje obowiązki, to byłoby inaczej Bóg świadkiem, że się nie chwalę, ani też ciebie panie Michale, nie chcę wychwalać. Ale prawda prawdą. Gdyby każdy szlachcic wypłacał swoje powinności jak ja — to starczyłoby pieniędzy na wszystko: byłaby broń, żołnierz w partji byłby syty i ubrany, chłop-by nie pomstował, że go objadają możnaby było nawet wynagrodzić straty, wyrządzone przez wojnę, i dopomóc pogorzelcom. Gdyby teraz

Rząd Narodowy miał w każdym powiecie takiego komisarza jak ty, panie Michale...

— Twój pomysł był szalony, drogi panie Michale. Dużo bólu sprawiłeś nam i Marylce. Dla Ojczyzny, dla matki — ach, czegóżbyśmy dla niej... Ale to twoje wybieranie się do partji było — już teraz powiem wszystko — nierozsądną egzaltacją, godną jakiegoś poety a nie poważnego obywatela, który ma na głowie tyle ważnych spraw narodowych. Teraz, kiedy się wszystko odmieniło, sam przyznasz... Partjom nigdy nie zabraknie żołnierzy. Chwała Bogu, na to nikt się jeszcze nie skarżył. Garnie się młodzież, idzie masa dzielnych, prostych ludzi — bo to łatwe. Ale rząd narodowy musi się opierać na poważnych, wpływowych obywatelach — i takim pełnomocnikom, jak ty, Michale, niewolno lekkomyślnie narażać życia. I tak nad tobą wisi ciągłe niebezpieczeństwo. Urzędników narodowych prześladują okrutniej, niż ludzi z partji — bo im przecież wiadomo, że na was opiera się wszystko.

— Trudno, cóż, trudno!... To już koniec. Ale cokolwiek czeka nasz nieszczęśliwy kraj — my wypełnimy do końca nasz obowiązek i będziemy sobie mogli powiedzieć, panie Michale, i naszym dzieciom w spuściźnie powiedzieć, że...

Michał szybko żegnał się ze staremi, ucałował jeszcze raz długo ręce Maryli i wyszedł.

Starzy padli sobie w objęcia.

— Chwała Bogu...

— Nareszcie od trzech dni po raz pierwszy usnę spokojnie.

— Aż strach pomyśleć, coby to było, coby to było, gdyby nie ślepy traf...

— Widać Bóg nad nami czuwa...

— Skarżyliśmy się nieraz, że nie mamy syna, a jednak lżej bez syna w takich czasach. Gdybyśmy go mieli — to byłby młodszy od Marylki. Ktoby

takiego utrzymał w domu? Nie godziłoby się nawet zabronić — a pozwolić?... Ilu to takich synów, młodych, serdecznych chłopców poległo bodaj pod Mazowem...

— Swoją drogą z Michałem trzeba pomówić poważnie — co dalej? Kiedy koniec, to niechby pojechał za granicę na kilka miesięcy, dopóki go nie zawadzili. Potym da się to jakoś załatwić, a teraz trzeba zejść z oczu...

— W jakim listopadzie moglibyście go odwiedzić z Marylką. Dziewczyna się wytęskni, a i tobieby dobrze zrobiło południe po tym wiosennym zapaleniu płuc. Do Włoch — czy tam gdzie... Wrócilibyście razem — na wesele.

— Marylko — zwróciła się pani Nieławicka do córki — idź, dziecko, zobacz, czy Szpręglewska wydała temu biedakowi czystą bieliznę i wszystko, jak kazałam. Trzeba się nim zaopiekować jak najserdeczniej...

Ale Maryli nie było w pokoju. Wysunęła się pocichu zaraz za narzeczonym. Teraz szukała go po ogrodzie. Kilka razy nieśmiało zawołała nań po imieniu, wreszcie zwróciła się prosto ku szpalerowi grabowemu, gdzie była ich ławeczka. Coś jej mówiło, że zastanie go właśnie tam. Szła szybko, naprzełaj przez trawniki, wreszcie pobiegła, bieląc się wśród nocy.

Tajemnicze cierpienie smagało ją boleśnie, najboleśniej — teraz właśnie, kiedy już wszystko ułożyło się pomyślnie. Nie dziwiło jej to. Już nią owładnęło niewytłumaczone a nieomylne przeczucie. Gdzieś się podziały ze szczętem ulga i własna, samolubna, niedobra radość.

— To przecież uie dla tego, że nasi przegrali— tłómaczyła się wówczas przed sobą, tłumiąc radosne bicie serca.

Teraz zapomniała już o klęsce pod Mazowem, i odmiennej sytuacji. Wiedziała, że Michałowi coś grozi, że teraz w tej chwili dzieje się z nim coś strasznego i że nie można tracić ani jednej chwili. Trzeba ratować! Trzeba zdążyć...

Dziwnie jasno czyniło się w jej myślach. Widziała rzeczy wszystkie w ich prawdziwej nagości. Nie umiałaby słowem ani wyraźną myślą wypowiedzieć tych nowych prawd, które sypnęły się na nią niespodziewanie. Ale była w nich groza rzeczy najważniejszych i ostatecznych w życiu człowieka. Tu ważyło się szczęście i niedola — życie i śmierć. Czyje życie? Czyja śmierć?

— Moja i jego. — I biegła na ratunek. Nie miała czasu myśleć nad tym, co uczyni.

Kiedy stanęła zdyszana w tym miejscu, gdzie powinna być ławeczka, zobaczyła go wyraźnie, jakby oczami, w tym nieprzeniknionym mroku. Zaczęła mówić do tej ciemności szybko, gorączkowo.

— Co się z panem dzieje? Dla czego się pan ze mną tak dziwnie pożegnał? Dla czego pan mi nic nie powiedział? Co to jest? Co się stało, panie Michale?

Ciemności odpowiedziały głosem zwyczajnym, który nie zdradzał żadnego nieszczęścia.

— Nic się nie stało, panno Marylo! Chciałem pomyśleć trochę przed spaniem. Jakże mnie tu pani wynalazła?

— Niech pan nie kłamie! Ja wiem...

— Cóż pani wie?

— Wszystko. I jak pan mi teraz wszystkiego nie powie, to znaczy, że mnie pan nie kocha zupełnie...

— Ja pani nie kocham... Co znowu?

— Co za dziwny głos! Dla czego pan mówi tak zwyczajnie. Dla czego pan udaje?

— Nic nie udaję. Co pani jest, panno Marylo?

— Co panu jest? Ja nie potrafię powiedzieć — ale ja wiem! Pan rodziców oszukuje i mnie pan oszukuje, Oni uwierzyli — ale ja nic byłabym nie warta, gdybym uwierzyła... Niech pan mówi! Natychmiast! Ja mam prawo wiedzieć, ja — narzeczona.

— Panno Marylo! To nerwy — przecież nic się nie stało złego! Tamtych rozbili i już nie pójdę do żadnej partji.

— Nieprawda. Pan pójdzie! Pan jest opętany, pan jest szalony — ja nic nie wiem, nic nie rozumiem, ale pan pójdzie! Pan tego chce, a mnie pan okłamuje i zdradza!

W jej głosie nie było już łez. Mówiła twardo, groźnie.

— I czemuż pan teraz milczy! Wymyśla pan jakie nowe kłamstwo? Pan mnie kocha! Kto kocha, ten nie porzuca, jak tego psa, bez szczerego słowa. Ten nie odchodzi bez porozumienia, chyłkiem, wygodnie. Gdybym tu nie była przyleciała — to jutro odjechałbyś stąd o świcie, a dopiero później — piękny, okropny, nieludzki list — a potym, a potym już nic! Już tylko śmierć! Miałeś mnie zawsze za dziecko nierozumne, bom nie umiała nigdy mówić, bom była nieśmiała, bom była, jak głupia panieneczka. Zupełnie mnie nie znałeś! Ja dużo wiem! Każde dziecko dorosło w ciągu tego roku! A ty byłeś, jak ślepy! I jakiś ty śmieszny — mówiłeś do mnie, jak do głupiej panieneczki, która ci się spodobała, mowiłeś, jak gdyby się nic nadzwyczajnego nie stało, a oczy cię same zdradzały przez całe te trzy dni. Przez całe trzy dni myślałam o tym, jak ty patrzysz. Przez trzy noce śniły mi się twoje spojrzenia. I czekałam — lada chwila powie wszystko. I nic. A jak przyjechał ten nieszczęsny rozbitek i wszystko się odrazu odmieniło — darowałam

ci wszystko w jednej chwili. Już się chciałam strasznie, okropnie cieszyć. Już chciałam Bogu dziękować i Boga przepraszać za to wielkie moje szczęście, wśród ogólnej niedoli, już sobie ślubowałam, że całym życiem będę się starała odwdzięczyć za to darowane ze krwi szczęście... Spojrzałam na ciebie i zmroziło mnie. Poznałam, że się zbliża do mnie coś strasznego, że zaczyna się jeszcze gorsze, niż było przedtym. Kto mi to powiedział? Nie wiem. Ale ty mów! Ty mi wszystko wyznaj! Niech będzie, co chce. Niech będzie wszystko najgorsze — ale ja muszę wiedzieć. Chcesz, żeby mnie potym, jak się coś stanie, przez całe życie dręczyła i truła myśl, żeś się ze mną rozstał w kłamstwie, a nie w szczerości i że ani razu, ani razu nie byłeś ty ze mną dusza w duszę...

Objęły ją ciemności mocnym uściskiem i porwały ku sobie.

Bolące, rozkoszne płomyki zaczęły palić jej czoło, oczy — a potym usta. W usta długo, okropnie, aż do utraty tchu... Potok jej gorących łez oblał ten pierwszy pocałunek. Ta pierwsza pieszczota miłości wzburzyła do dna dziewiczą duszę. Niewysłowiona i nigdy nie przeczuwana słodycz pocałunku zgasiła w jednej chwili wszystkie przeczucia i rzeczy okropne. Sam na sam z niepojętym zjawiskiem utonęła w nieprzebitych ciemnościach. Pomąciło się wszystko i stało się, jak we śnie. Szybko upływały sekundy rozkosznego uśpienia, bez myśli, bez trwogi, bez woli.

— Odgadłaś. Już cię nie będę oszukiwał. Byłoby lepiej nie mówić. Powiem wszystko. Jutro o świcie wyruszam—jak było zapowiedziane. A wiesz dla czego? Muszę. Chcę i muszę. Choć ciebie kocham na śmierć i życie. Tak trzeba. Nie mogę inaczej. Zgódź się ze mną. Rozstańmy się w zgodzie.

— Ja nie rozumiem. Mów wszystko...

— Od dwóch lat pracowałem i byłem pożyteczny dla ruchu. Nie jestem żołnierzem i niewiele zaważy jedna moja strzelba w gromadzie. Czyniłem swoje z wiarą, potym bez wiary, bo tylko do czasu można się było łudzić. Byłem jak wielu. Ale te klęski — ta krew... Ale to niesłychane zniszczenie... Z dnia na dzień coraz gorzej, coraz okropniej... Cudze cierpienie, cudza krew — i wiecznie cudza. Tysiące ludzi takich jak ja rzucają dom, rodzinę. Niebezpieczeństwa, śmierć, rany, męczarnie. Idą starcy i giną. Dzieci wykradają się rodzicom. A ja? A ja? Byłem pożyteczny, pracowałem w tym chaosie wydajnie, porządnie, jak maszyna — wreszcie ta krew zaczęła mi zalewać duszę. Ja nie mogę już dłużej. Oddawna walczyłem ze sobą. Ja rozsądny, ja zawsze wierzyłem w to, co pożyteczne, rozumne. Ale ta krew... I ja chcę stanąć, i ja chcę piersi nadstawić. Mogę zginąć, mogę wyjść cało. Jak wyjdę cało, to do końca życia będę spokojny — bo spełniłem swoje, a gdybym nie poszedł — cień jakiejś hańby będzie nademną stał przez całe życie. Będę do końca nieszczęśliwy — będziemy nieszczęśliwi oboje. Ja tego nie chcę. Módl się, żebym ocalał... A jeżeli zginę, jak tylu, tylu ludzi, z których każdy też pragnął dla siebie własnego szczęścia — to niechaj się stanie. A ty — ty zrozum tę moją myśl ostatnią i najdroższą—i nie odrzucaj od siebie życia i szczęścia... Nie mów nic! Mnie tylko wspominaj w modlitwach... Nic nie mów!...

Trzymał ją przytuloną i drżącą od łez i całował długo, chciwie, jak przy ostatnim pożegnaniu. Duszę całą wlewał w te nienasycone, w te pierwsze i już na całą wieczność ostatnie pocałunki. Nie mógł się od niej oderwać i nie mógł już nic mówić.

Ale nie powtórzyła się już płomienna i zapominająca o całym świecie rozkosz pierwszej pieszczoty. Usta Maryli były zmartwiałe i już na nic nie czułe.

Pozwalała się całować, nie zdjęła ramion z szyi ukochanego człowieka, przytulona była do niego z dawną mocą — a była mu jakby już obcą. I znowu wydało się jej wszystko snem. Upadła bez władzy na jakieś puste dno, bez woli i bez żadnego pragnienia.

— Tak jest chyba, kiedy człowiek umiera. I ja umieram — pomyślała. — To dobrze. Umrzemy razem.

— Jedynym moim pragnieniem jest to — żebyś ty mnie rozumiała. Ja muszę chcieć tego — inaczej nie byłbym wart naszego szczęścia. Nasze szczęście wśród tylu nieszczęść! Pomyśl tylko! Jak można żyć z wieczną pogardą dla siebie samego? Przecie z tem żyć nie można, a cóż dopiero być szczęśliwym? Na szczęście trzeba zarobić. W tych strasznych czasach za szczęście trzeba odpokutować. Niewolno teraz szczęścia poprostu brać i z niego w spokoju korzystać. Krew i cierpienie upominają się o swoje. Domaga się tego jakaś wielka sprawiedliwość. Jej obrazić niewolno, bo dusza się wzdryga przed tym, jak przed świętokradztwem — a jeżeli rozważać to nawet na chłodno, na rozum brać — to i rozum ci odpowie, że taka zbrodnia się mści, że woli Boga nie oszuka sprytny rozum człowieka...

— A więc ty zginiesz. Pójdziesz ode mnie i już cię nigdy nie zobaczę. Zostawisz mnie samotną, w żałobie, czekającą na śmierć, bo po śmierci twój Bóg pozwoli nam już się połączyć...

— Nie wszyscy giną. Będę rozważny. Nie idę na samobójstwo — tylko na walkę.

— Tacy jak ty — giną zawsze. Ocaleje tylko ten, który ucieknie. A ty nie będziesz uciekał...

— Będę się bił, a jak będzie trzeba, to będę uciekał... Każda wojna składa się z nacierania i uciekania.

— Jakże ja cię pożegnam, mój drogi, mój ty ukochany, ukochany...

— Żegnaj mnie, jak żołnierza. Serdecznie, dzielnie, z wiarą.

— Nie kłamiesz przedemną? Czy ty nic nie czujesz? Ja czuję!

Ot teraz: tak okropnie wyraźnie. Myślę sobie: może jeszcze nie pojedziesz jutro. Może jeszcze się rozmyślisz. Ale jeżeli pojedziesz jutro o świcie... To będzie koniec. To będzie śmierć. Śmierć!

— Tego nikt nie wie!

— Ja wiem. Ach! Patrz! Ach!

Wśród szeptanej rozmowy wydarł się Maryli nagły, przenikliwy okrzyk. Jasna smuga blasku sunęła pochyło po niebie. Wyraźnie widać ją było przez gałęzie ciętej grabiny. Przekreśliła niebiosa i zgasła. Maryla dotykała całym ciałem i konwulsyjnie garnęła się do Michała. Uspakajał ją i tulił. Powoli wracała jej zdolność myślenia, mogła mówić. Zaczynało się znowu coś zwyczajnego. Spostrzegła — gdzie jest, przypomniały jej się zdarzenia jej życia i dzisiejszego dnia. Rozmawiali jeszcze z pół godziny.

— I gdzież ty pójdziesz, kiedy Rataj zniesiony?

— O cztery mile stąd w innej stronie, w lasach organizuje się oddział. To jest tajemnica. Tam pojadę.

— Będziesz pisał?

— Jak tylko będzie można.

— Jędrek pojedzie z tobą i tam zostanie?

— I on i jeszcze paru moich ludzi.

— Jędrek będzie o ciebie dbał — to dobrze. Mam tu mój krzyżyk na szyi. Noś go zawsze. Miałam go na sobie od małego dziecka. Myśl o mnie, nie narażaj się bez potrzeby. Myśl o mnie!

— Nie jestem zapaleńcem. Bądź spokojna.

Zawsze, zawsze wierna — aż do godziny śmierci. Tak mi Boże dopo...

— Tego niewolno! Żadnych przysiąg! Jeżeli mnie kochasz...

Ode dworu dobiegło ich wołanie matki. Szli śpiesznie, w milczeniu, trzymając się za ręce. Nie mogli mówić. Dopiero tuż przed samym dworem, zanim doszli do przestrzeni, na którą biło światło od okien, Michał ukląkł przed narzeczoną i przytulił głowę do jej kolan. Porywczo, śpiesznie, ze wszystkiej siły ucałował ją. Oderwali się nareszcie. Już w progu — kiedy matka, gderając dobrotliwie i napędzając do spania, odwróciła się na chwilę, Maryla szybko przycisnęła do ust rękę narzeczonego. Michał drgnął z bólu.

Zamknął się w swoim pokoju, zapalił świecę i poczuł natychmiast, że życie jego już się urwało. Pożegnał na zawsze wszystko, co było jego własne. Cóż mu pozostało? Jedynie to — co należało uczynić: umrzeć. W tej świadomości była ulga. Zaczynał się jakiś niebywały, chłodny spokój. Zdawało mu się, że nie obchodzi go już nic na świecie. Obcą i daleką stała się Maryla. Dawnemi stały się zdarzenia z przed paru chwil. Postarzało wszystko. Życie własne wydało mu się niezmiernie długie, był zmęczony i nadewszystko teraz zapragnął spoczynku. Szybko rozebrał się i zgasił świecę.

Pomimo wszelkich wysiłków, nie mógł pogrążyć się w bezmyślnym odrętwieniu przedsennym. Napróżno odpędzał, urywał zaczynające się myśli i obrazy.

— Niepokoiło go mętne półświatło, idące od otwartego okna, drażnił go szelest liści i pachnący powiew z ogrodu. Tam — na tym wolnym świecie, żył o tej porze cały odmęt zjawisk — które już na zawsze powinny pozostać dla niego obce. Gniewał

go szmer liści — raziła go w oczy jakaś gwiazda na niebie, którą widział ze swego kąta. Zapragnął głębokiej, czarnej ciemności. Zapragnął ciszy martwej, kojącej. I zatęsknił: jakże dobrze będzie — już w grobie.

Długo, mozolnie trzeba będzie jeszcze żyć, kto wie, może jeszcze przez kilka tygodni. Trzeba się będzie włóczyć po lasach, trzeba będzie czekać, znosić trudy, przedsiębrać różne prace — po to, żeby spotkać się nareszcie ze śmiercią. Tysiące niepotrzebnych, nużących zabiegów...

I nie poraz pierwszy wydało mu się to wszystko niesłychanym jakimś nonsensem. Jak obłąkany w chwili ocknienia świadomości — patrzał z przerażeniem na siebie, na swoje czyny i myśli i na ten los, który sobie sam zgotował.

— Czemu ja się dręczę? Co za tuman ogarnął mnie, którego nazywają wszyscy chłodnym, rozważnym, przytomnym? Kto mi powiedział, że zginę? Skąd ta obłąkana pewność? Jakiemi drogami przedostała się ona ze mnie do prostej duszy Maryli, kiedy ani jednym słowem nie dałem jej do zrozumienia, że idę na śmierć, kiedy udawałem przed nią mężnego żołnierza, który idzie walczyć, ale nie szuka śmierci? I ona mówi: — tacy jak ty nie wracają. Jakiż jestem ja? Fatalista? Samobójca? Czy ja chcę śmierci? Może ja chcę?...

— Nie! Wszystko we mnie rwie się do życia. Stoi ono przede mną bujne, piękne, bogate i ukochane, jak nigdy. Pragnę kochania, rozkoszy — chcę patrzeć w oczy Maryli, chcę całować jej usta, chcę żyć z nią dusza w duszę przez długie lata. Ja nienawidzę śmierci! Ja się boję grobu...

— A więc...

Jakże łatwo powrócić do życia! Sam los mu sprzyja, który starł z powierzchni żołnierzy i wodza, z któremi miał walczyć. Zginął za niego kto inny.

Teraz może bez żadnego wstydu i udawania wyrzec się szalonego zamiaru i wrócić do życia. Teraz w tej chwili należy tylko zasnąć jak najprędzej, a jutro rano obudzi się jako nowy człowiek i śmiać się będzie ze swoich przewidzeń, udręczeń. Podniesie się z ciężkiej gorączki, ozdrowieje i będzie wszystko, jak dawniej.

I znowu radość zaczęła mu podnosić pierś w szybkim oddechu. Radośnie zabiło serce. Wyzwolić się! Obronić się od śmiertelnych podszeptów! Żyć! Żyć! Polska ma już dość krwi i ofiar! Co będzie, jak wyginą wszyscy? Kto stanie do pracy, kto będzie narodem w tym czarnym dniu jutrzejszym, który nastąpi po ostatniej klęsce? W tym niedalekim dniu, kiedy trzeba będzie wdwójnasób myśleć, pracować i cierpieć? Kto żąda mojej śmierci? Niema na świecie takiego nieludzkiego prawa! Niema w najszlachetniejszej duszy ludzkiej takiego ciężkiego obowiązku. Jest tylko obłęd zatracenia, który w tym strasznym roku porywa ludzi słabych, przeczulonych. A ja chcę być mocny!

Nadaremno!

Ponad burzliwe, dobywające się z całym rozpędem życia myślenie, ponad wszelkie oczywistości, postanowienia i obronne szyderstwa, wydobywało się powoli i spokojnie dawniejsze widmo. Jeszcze przed chwilą godziła w nie zuchwała myśl. Udawała chytra myśl, że nie dostrzega, że nic się nie stało.

Teraz już się korzył niewolnik i pochylił czoło przed panem swoim. Zdumiewał się własnej śmiałości i nie wiedział, jak przebłagać pana. Ale nie było gniewu w pańskim obliczu. Po dawnemu spokojne, zimne i martwe było jego spojrzenie.

Te niewiadomo czyje i niewiadomo skąd patrzące oczy były mu już oddawna znajome. Michał był pewien, że widział je w snach dzieciństwa, że

potym w różnych kolejach życia, bez żadnego powodu, wynurzały się one i wstrząsały go dreszczem odrazy i strachu. Ich martwy spokój był pełen okrucieństwa. Teraz wyraźniej jeszcze niż kiedykolwiek widział je nad sobą na tle ciemności. Oczy patrzały już na niego obojętnie, jak na rzecz martwą. Przesądzony był jego los. Po to żył na świecie, żeby tak się stało.

Teraz dopiero zrozumiał i policzył znaki prorocze, których pełno było w jego życiu. Dalekie zdarzenia, dziwne trafy, urwane myśli, chwile i błyski i głębokie zadumy bez treści... Sny i przewidzenia, nagłe smutki, niepokojące szeptania czyichś głosów...

Oddawna powinien był odgadnąć swoje losy, powinien być gotów. Zeszło krótkie, nieopatrzne życie. Ot i koniec.

Przyszła chwila tępej rezygnacji. Niech tam będzie! Była w tym chwilowa ulga. Nic nie poradzisz, człowieku — pocóż się dręczyć? Zginę. Tylu zginęło, będzie o jednego więcej. To proste i zrozumiałe. Wstyd szamotać się ze sobą i biadać nad sobą, kiedy potokiem leje się krew. Czyjaż ona jest? Czy każdy szedł ze ślepym zapałem i z wiarą? Czy nie było ciężkich walk wewnętrznych i nadludzkich zwycięstw w tych niewiadomych ludziach, co tysiącami szli z gołemi rękami o głodzie i chłodzie, w poniewierce i trudach niezmiernych — po to, żeby zginąć? Czyż o tej późnej porze, kiedy już niema ani żadnego planu, ani żywej wiary, kiedy przeżyły się już wszystkie nadzieje i wszystkie złudzenia, nie zcierają się jeszcze gromady ludzi, idące ginąć tak, jak poginęli tamci pierwsi?

Burzliwie, hucząc i porywając za sobą wszystko, płynie potok polskiej krwi. Z pod samego serca, przez szeroko rozwartą ranę uchodzi najdroższa krew narodu. Już polegli ci, co byli najlepsi, ci,

co dla ojczyzny byli najdrożsi i nikt ich nie zastąpi w dalszej służbie. Przez sto lat słaniać się będzie naród w bezsilności po tym upuście krwi, a jednak tak każe przeznaczenie w swojej niepojętej dla człowieka mądrości. Ono — prowadzi do jakiejś przyszłej doli, do jakiegoś nieznanego celu ten nieszczęsny, wybrany lud, chłostany krwawo ręką boską już w trzecim pokoleniu. Cóż znaczy jednostka ludzka? Co znaczy jej cierpienie i jej zawsze samolubne i głodne pragnienie szczęścia? Wstyd i hańba ujść cało.

I poznał Michał, że gdyby ocalał, nigdy nie byłby szczęśliwy, że nigdy nie byłby spokojny. Nie zaznałby słodyczy życia z Marylą, nawet jej przecudna miłość nie zagłuszyłaby tych strasznych głosów, idących z pod ziemi, z samotnych grobów, porozrzucanych po lasach i polach. Zrozumiał, że żyć nie może i że żyć nie będzie. Wiedział już teraz wszystko. Odgadł tajemnicę spokojnych, długich spojrzeń swojego widma. Nie było w jego czynie szaleństwa, ani gwałtu nad samym sobą. Szedł spełniać swoje przeznaczenie. Posłuszny był woli Boga, który kieruje biegiem światów, który z drobnego nasionka wywołuje trawy polne i rządzi losami narodu. Porwało go upojenie śmierci i już go wchłonął obracający się nieustannie krwawy wir zatracenia.

Nie spał, ale myśli jego były, jak sen. Lekko, łatwo nosiły go myśli po szerokim świecie, przez gęstwę trudnych jego spraw. Wszystko było jasne, spokojne, jak w czystej opowieści o cudzych losach.

Czytał o sobie, o Maryli. Widział ją w chwili, kiedy otrzymuje wiadomość: — Michał zginął. Ze spokojnym współczuciem patrzy na jej łzy, na rozpacz jej osamotnienia. Jest piękną w swoim smutku i w czarnej żałobnej sukience. Miło mu, że ona pamiętać go będzie, miło mu wierzyć, że wierną

mu pozostanie aż do śmierci. Piękna jest melancholja jej zmarnowanego życia. Posmutnieją na zawsze jej cudne oczy, wypłacze we łzach krasę swoją, przepłacze młodość, a potym...

...Porwała się w nim w ostatnim wysiłku już konająca wola do życia. Ujrzał Marylę tak wyraźnie, tak prawdziwie, tak blizko... Patrzała na niego przez łzy — już z beznadziejnym błaganiem. Tego spojrzenia nie mógł znieść. Cała jego miłość stopiła się w bezbrzeżnym żalu, niemożliwym do zniesienia, łkającym krwawemi łzami. Straszliwa była krzywda niewinnej dziewczyny, która wczoraj była jeszcze dzieckiem. Niczym nie naprawi zbrodni, która się nad nią stała. Nie pomoże rozkaz, ani żadne rozsądne namowy. Bo ona jest z takich, co raz w życiu kochają.

A w roku krwi i ofiary jest tysiące takich jak ona, dla których ulgą jest dorzucić na stos całopalenia przed ołtarzem Ojczyzny i swoje własne cierpienie—bez potrzeby, z szaleństwem samoudręczenia. Niema rady i niema cudu, któryby ją odmienił, Wiedział, że wierną mu będzie przez całe smutne życie. Widział to tak samo wyraźnie jak własną śmierć.

— Marylo! Marylo! Czemu ty nie chcesz żyć? Dla czego w świecie cieniów ściga mnie bez litości twój straszny żal? Wieczną cichą spokojność obiecuje zmarłemu śmierć — ale ja nie zaznam i tam spokoju. Z jakąż radością patrzałbym stamtąd na twoje szczęście. Jak można kochać trupa? Czemu ty mnie jeszcze pamiętasz? — wołał do niej jak gdyby już z grobu.

Na to wołanie cicho skrzypnęły drzwi i biała postać zamajaczyła w ciemności. Nagle, gorące ramiona owinęły się około szyi Michała. Przywarło do

niego ze wszystkich sił dygocące ciało dziewczęcia, Zalały mu twarz palące łzy...

. . . .
. . . .

Ból, rozkosz, uściski, łzy. Szał miłosnego zapamiętania, błoga nicość. Niesłychany nowy byt poza wszystkim, co istnieje, poza czasem, poza wszelkim miejscem na ziemi.

Aż znienacka wyjrzy niezłomna, wszechwładna rzeczywistość. Przyjdzie lekki powiew nocy, cichy szelest drzew i przypomni wszystko. Z przerażeniem wzdryga się dusza przed przyjść mającym niechybnie światłem dnia. Przed tym nielitościwie blizkim dniem prawdziwego życia, które ma wrócić, które czeka niecierpliwie, coraz niecierpliwiej...

Tulą się do siebie z trwogą. Duszą się w uścisku rozpaczy. Omdlewają, umierają i toną w głębinie nieszczęścia. Zalewa ich ponura, czarna topiel i dręczącym, obłąkanym snem wydaje się wszystko. Usiłuje dusza zbudzić się, mocuje się, żeby zepchnąć z piersi tłoczącą zmorę. Nareszcie! Co za ulga...

Budzą się w bezgranicznej radości, we łzach wdzięczności za nieprawdopodobne szczęście. Stapiają się dusze i odtąd razem idą ich myśli. Każde dziwi się sobie, bo w sobie dostrzega najtajniejsze myśli tej drugiej ukochanej duszy. Byli jednym człowiekiem. Już wiedzieli o sobie wszystko...

Za oknem czarne drzewa stały się ciemno-zielone. Chłodny powiew przychodzącego dnia szumiał w gałęziach, rozgarniał je. Ukazywały się i zakrywały się natychmiast płaty już jasnego nieba. W pokoju wśród głębokiej pomroki błąkały się niepewne, niepokojące smugi. Dusze ogarniał lęk. Same przymykały się powieki. Oczy nie chciały widzieć, nie chciały jeszcze wiedzieć o niczym.

Ujrzał nareszcie Michał wpatrzone w niego oczy Maryli. Była w nich zgroza, strach, nieprzebrane ukochanie i śmiertelne znużenie, jak gdyby w ciągu tej nocy przeżyli długie lata, pełne straszliwych kolei. Poznał, jak umierający, że oto już żył, że przebył na ziemi już wszystko i że na niego czas.

Zwolna, łagodnie, mocno, nieubłaganie uwalniał się z zaciśniętych konwulsyjnie objęć Maryli, z trudem przełamując opór jej ramion.

Mogiłka.

Jeszcze wczoraj mogli się byli przekraść.

Dziś, o tej porze, byliby już wszyscy w pasie nadgranicznym, gdzie nie podchodził nieprzyjaciel. Całą dobę stracili na błądzeniu, kołowaniu i zawracaniu po bezdrożach. Przedwczoraj młody Linkiewicz zginął gdzieś w lesie po nocy, a z nim wszystkie mapy. Stary Linkiewicz drżał o los syna i domagał się, żeby go partja szukała. Szukali go też, a bardziej jeszcze map. O przewodnika bowiem było trudno w okolicy, gdzie chłopi byli szczególniej zajadli na Polaków. Nikomu nie można było zaufać, bo tropili ich nietylko kozacy Chaneńki, ale i chłopi.

Partja zdaleka okrążała wsie, zapadała na dzień po lasach i jarugach, a w nocy posuwała się wciąż ku południowi, ku granicy. Tak parli już ostatnim wysiłkiem, a dwa tygodnie minęło od nieszczęsnej potyczki pod Kozyrkami. Jeść nie było co, wódki ani kropli. Po nocy otaczali samotne karczemki lub odosobnione sadyby na polanach leśnych i zabierali wszelką żywność, a ludzi straszyli postronkiem, jeżeli pisną przed kimkolwiek bodaj słowo o przemarszu partji. Poczym znikali, uciekając przed kozakami, których cała brygada, rozbita na małe oddziały, ogarnęła wielką połać kraju i, przeszukując wszędy według wskazówek wystraszonej i nieprzychylnej ludności, parła ich bez wytchnienia ku granicy.

Pułkownik wymykał im się systematycznie i uparcie wciąż ku prawemu skrzydłu, chcąc wydostać się poza niezmiernie rozwinięty front obławy i odetchnąć choć przez jeden dzień spokojnie. Ale niepodobna było ukryć przed wszystkiem, co żyje, przechodów sporego oddziału. Pomimo wszelkich manewrów i ostrożności, pomimo rozpuszczania mylnych informacji przez przypadkowo napotykanych ludzi — zawsze ktoś ich tam dostrzegał i kozacy zmieniali kierunek pościgu — zachodzili, okrążali i partja musiała cofać się, zmieniać plan, kołować, błądzić i z konieczności posuwać się w fatalnym kierunku do fatalnego miejsca, gdzie na dwie mile od granicy rozstawione były trzy bataljony piechoty, działające w porozumieniu z brygadą kozacką.

Była późna jesień, po nocach zdarzały się już przymrozki. Liść leciał gęsto z drzew, odsłaniając coraz okropniej głębie leśne i kępy zarośli, poza któremi przemykała się partja lub gdzie zapadała w cichości, nie paląc ognia w ciągu dnia.

Pułkownik musiał za każdym razem długo prosić i długo tłumaczyć na rozum, zanim ktokolwiek zgodził się pójść na zwiady. Rozkaz nie znaczył już nic. Nic, jeno strach i okropne położenie trzymały jeszcze w kupie tę garstkę ludzi.

Stopniał w ciągu dwuch tygodni oddział, który wyszedł cało z klęski. Na pierwszym postoju, po pierwszym obrachunku było jeszcze przeszło trzystu ludzi — sto koni — piętnaście furgonów — były zapasy amunicji — były pieniądze — i było mocne postanowienie obejść nieprzyjaciela, bronić się w razie przypadkowego spotkania i dążyć do wielkiej partji Wiktora, która nie brała udziału w walce i manewrowała wzdłuż granicy, mając w obwodzie pas neutralny. Po drodze znikali ludzie i zmieniały się zamiary dowódcy. Kozacy następowali z blizka i w wielkich masach. Porzucono tedy furgony, zabrawszy

tylko konie i co się dało z bagażów, i oddział opuścił drogi bite i gościńce i wparł się w lasy i bezdroża, które chroniły od masowego ataku konnicy.

Ludzie ginęli, błądząc po nocach, patrole, wysyłane na zwiady, wracały rzadko. W ciągu pierwszego tygodnia po rozbiciu oderwały się od całości dwie kupy wbrew zakazowi pułkownika i poszły próbować szczęścia na własną rękę. Porzucano na drodze chorych, przemęczonych — zostawiano ich na gościńcu lub pod jaką siedzibą ludzką. Oddział nikł w oczach i pewnego dnia z groźnej partji bojowej stał się bezładną kupą uciekinierów — myślących tylko o własnym ocaleniu.

Tego ostatniego dnia było ich w kupie tylko dwudziestu trzech.

O ledwie szarzejącym brzasku wywlekli się z zarośli przemarznięci, niewyspani i głodni. Pułkownik prowadził ich przez mokre, puste łąki, kierując się w tej nieznajomej okolicy według znikających już gwiazd. Oddział brnął po kolana w torfowiskach, zmierzając ku dalekiemu pasmu lasów, które miały być im osłoną w dalszym marszu.

— Prędzej! Dalej tam! Nie zostawać! — wołał co chwila pułkownik, nie odwracając się poza siebie, i brnął po łące ze sztucerem na ramieniu i z workiem na plecach, jak szeregowiec. Przed paru dniami oddał swego konia pod bagaże, a wczoraj szkapa padła właśnie w najgorszej chwili, w złym, odsłoniętym miejscu, gdzie lada moment mogły ich dostrzec podjazdy kozackie.

Nie było nawet czasu wykrajać nieco padliny dla zgłodniałych ludzi. Był to ostatni koń oddziału.

Pułkownik rozważał wszelkie możliwości, pracował głową nad utrzymaniem właściwego kierunku i przeklinał przygody ostatniego dnia, stratę map,

zawieruszenie się kilku najdzielniejszych ludzi i z niemi ostatnich paru tysięcy złotych. Do wczoraj wierzył jeszcze, że garstkę swoją doprowadzi szczęśliwie do granicy — teraz wiedział, że chyba cudem uda mu się uniknąć spotkania, a najprawdopodobniej — że o tej porze już się znajduje wewnątrz pętli, która się będzie ściągała, zaciskała...

— Wypadnie to chyba tak pod sam wieczór... — myślał.

Nie rozpaczał, ale był zły. Robił wszystko, co był powinien i co było w mocy ludzkiej, a nawet ponad to. Reszta nie należy do niego. Zginie on i wyginą co do nogi jego ludzie. — Będzie to tak — pod wieczór... — myślał sobie. Ale pułkownik wiedział, że od tego jest wojna, żeby wojować — czyli nie dospać, nie dojeść, deptać każdego, póki się ma siłę, ukrywać się i przekradać, kiedy się jest słabym, a przedewszystkiem o każdej porze być gotowym, żeby zabijać i ginąć.

Pułkownik był żołnierzem. Z porucznika w wojsku rosyjskim, awansował na pułkownika i miewał pod swemi rozkazami i po pięciuset ludzi, ale marzył zawsze, żeby mieć bodaj jedną rotę prawdziwych żołnierzy, którzy umieją broń trzymać i ślepo słuchają, jak wrzaśnie naczelnik. Z jedną taką rotą pod Kozyrkami przebiłby się przez wszystkich kozaków i poszedłby w głąb kraju próbować jeszcze szczęścia. Z pełną nienawiści zazdrością patrzył wówczas zblizka na sprawne i pewne ruchy oddziałów nieprzyjacielskich. Ochrypł od krzyku i naganiania swoich ludzi — widział ich męstwo, dobre chęci i niepoprawne, okropne niedołęstwo żołnierzy, tudzież samowolę i wieczne szlacheckie warcholstwo podwładnych „oficerów" — nawet w najgorszej chwili, na polu bitwy. Gdyby nie ono — o tej porze partja trzystu ludzi byłaby już w głębi kraju, rządziłaby się, jak u siebie, ludzie byliby najedzeni i pewni siebie

— a gdyby przyszło do spotkania, biliby się, ginęliby w walce — gdzie przecież mogło być jeszcze i zwycięstwo. A teraz...

— Dalej tam! Nie zostawać! Wyciągaj nogi jeden z drugim! Byle do lasu!

Nie chciało mu się oglądać na mizerną gromadkę, bo brała go złość i obrzydzenie. Ludzi swoich nie żałował, ani się z niemi nie cackał, dbał jednak o to, żeby uczynić teraz wszystko, co trzeba i można dla ich uratowania. Żołnierze go nie lubili, ale bali się go — kiedyś. Teraz ani go lubili, ani go się bali, ale słuchali go we wszystkim, jak nigdy — bo wiedział każdy, że jeżeli ich pułkownik teraz nie wyprowadzi, to żadna siła ich już nie uratuje.

Pułkownik zatrzymał oddział w kępie łoziny, nad wązką, pokrętną rzeczką, kazał szukać płytkiego miejsca i pozwolił wytchnąć przez chwilkę, a sam wyszedł na skraj kępy i przez lornetę bacznie badał okolicę. O jakie pół mili na rozległej, wolnej równinie dymiło się z kominów jakiejś wsi i widać było dzwonnicę kościoła. Patrząc zaś w górę rzeczki — dojrzał między wierzbami bardzo blizko samotną chałupinę.

Ludzi trzeba było nakarmić. Od osiemnastu godzin nikt nic w gębie nie miał. Wziął tedy dwuch ludzi i poszedł wzdłuż rzeczułki, nakazawszy reszcie zaszyć się w łozy i siedzieć cicho.

Chałupka była nędzna. Z półtora morga wokoło było ogrodzone płotem z żerdzi. Na podwórku chłopak wyrostek łupał mokre szczapy wierzbowe.

— Co to za wieś? Tamta z kościołem?

Chłopak otworzył gębę i zbaraniał.

— Wieś?...

— Nie bój się — my swoi. Jaka to wieś?

— A Namiotów u nas nazywają...

— Niechże cię wszyscy djabli wezmą!...

Pułkownik już wiedział, gdzie się znajduje. Trzeba było zmarnować całą noc w piekielnym marszu, żeby się znaleźć w tym samym miejscu, gdzie byli wczoraj o tejsamej porze. Ten Namłotów mijali o świcie, tylko oczywiście z tamtej strony.

— Wojsko jakie we wsi jest?

— Wojsko? Nie wiem, wielmożny panie.

— We wsi byłeś wczoraj?

— A byłem

— Wojsko widziałeś?

— Były kozaki.

— Dużo?

— Tego ja nie wiem, czyli dużo.

— Oficerów, starszych, widziałeś?

— Nikogom nie widział, ino gadały, że we dworze stoją jakieś generały.

— Gadaj prawdę. Ze wsi ludzi gnali na obławę? Zwoływał sołtys ludzi? Na kiedy — na dziś? Gadaj prawdę, nic ci nie będzie.

— Nic ja nie wiem, wielmożny panie.

— Gdzie ociec, matka?

— Matka pomarła.

— Wieczne jej odpoczywanie. A ociec?

— Wczoraj na wieczór poszli do wsi, bo wołali.

— Kto — poco?

— A bo ja wiem. Sołtys pono nakazywał.

— Dobrze. Co jest w chałupie do jedzenia? Chleba gotowego niema? Gdzie dół z kartoflami? Ruszaj!

Po przetrząśnięciu izby, komory i obórki nie znaleziono nic więcej, jak pół bochna chleba, króbkę soli i odrobinę cuchnącego sadła. Zato przyniesiono trzy worki. Chłopaka spuścili do dołu i kazali mu nagarniać kartofle.

— Tylko się śpiesz, uważasz? Zapłacimy trzy razy tyle, co warto! — wołał pułkownik do dołu.

— Chłopaka trza będzie w tym dole zamknąć, proszę pana pułkownika — szepnął jeden z ludzi.

— Sam wiem, co z nim robić! A ty jeden z drugim chleba tak nie żryj — bo i tam są głodni.

Pułkownik popędzał chłopaka i był całkowicie zaprzątnięty temi kartoflami. W istocie jednak był najpewniejszy, że za lasami, za rzeką, na tymsamym gościńcu, który przecięli wczoraj nad ranem, już czekają na nich kozacy — a kto wie, czy i nie piechota — bo przez dwadzieścia cztery godziny wszystko się stać mogło. Jeżeli w tych lasach są większe przerwy — rozważał — a oczywiście, że są, to nas tu przycapią. Ciekawa to rzecz, czy piechota już jest, jeżeli jest — to będzie mój własny pułk. Oryginalne!

To mu się bardzo spodobało. Wstyd mu tylko było swoich obdartych, wymizerowanych i potruchlałych ludzi.

— Gdyby to były dzielne chłopy, jak się patrzy, tacy, jakich miałem pod Kozłówką, gdyby ich było tak bodaj z pięć razy więcej, tobym ich napasał temi kartoflami, dałbym się wyspać w lesie ze dwie godziny i uderzyłbym wprost. Toby było po kawalersku, po polsku. Gębyby pootwierali „apszeroncy". Niechnobym jeszcze natrafił na trzeci bataljon! Ha, ha...

W tym trzecim bataljonie pełno znajomych. Zachciało mu się ich zobaczyć, polec z ich ręki, a przedtym ich trochę powystrzelać.

Kiedy chłopak wylazł z dołu, pułkownik dał mu pięć złotych (ostatni pieniądz, jaki miała partja) i kazał wziąć worek na plecy. Chłopczyna poszedł z ochotą, bo był ciekawy powstańców.

W łozach wszyscy co do jednego spali pokotem, pokuleni, pokręceni z głowami. Trudno się było kogokolwiek dobudzić, szarpani i kopani ludzie otwierali błędne oczy i zapadali napowrót w sen.

Jaki taki podnosił głowę, ale głowa mu sama opadała. Na ten widok straszna senność ogarnęła i pułkownika. Zaczął tedy wymyślać i grozić.

— Wojsko za nami w pół mili. Wstawać — bo śmierć! Wstawaj! Ruszaj!

Dopieroż zaczęli się podnosić. Wszyscy mieli białe twarze, podsiniałe oczy i czarne usta. Oczy błyszczały gorączkowo, nieprzytomnie.

Chleb i sadło rozerwane były w mgnieniu oka. Ci, co nic nie dostali, wymyślali i brali się do bicia. Pułkownik pogodził ich kolbą od sztucera i w krótkości zapowiedział, że jeżeli nie chcą wyginąć co do jednego, tu na miejscu, nad tą oto rzeczką i jeżeli chcą być wieczorem za kordonem, to niech ruszają co siły ku lasowi.

Chłopak pokazał im na rzece płytkie miejsce — po kolana — ale zdziwił się niezmiernie, kiedy mu pułkownik kazał włazić do wody za innemi.

— Pokażesz nam drogę przez las. Smyczyński — weź go na postronek! A ty, kochanku, prowadź dobrze, bo z nami niema sypasów. Jak się dobrze sprawisz, to wrócisz do domu na wieczór.

Chłopak z przerażeniem wbił oczy w dziką postać Smyczyńskiego, który go brał, jak psa, na postronek.

W lesie na tysiąc kroków od brzegu, rozbito obóz.

Z suchych, niedymiących gałęzi nałożono ognisko i nastawiono kociołki. Pułkownik wrócił na skraj lasu i pilnie rozglądał się przez lornetę. Nakazane było trzymać straż na odległości trzystu kroków od obozu, na wszystkie cztery strony, ale placówki posnęły natychmiast.

Większość ludzi na biwaku też chrapała, a reszta patrzyła chciwie na kotły, gdzie się cwałowały kartofle, dla pośpiechu nawet nieobrane.

— Chłopak — jakże ci na imię.

— Jędrek.

— Gadaj, Jędrek, do granicy daleko?

— Na kordon? To panowie tam?

— Ty się nie pytaj, tylko gadaj!

— We trzy godziny zajdzie na komorę we Wólczy, a do Pijawna, już na tamtej stronie — we cztery godziny. Ino, proszę państwa, jak na granicę — to trza iść ku wsi, a we wsi wojsko.

— Głupiś, my pójdziemy bokiem.

— Na każdym boku po trakcie kozaki jeżdżą dzień i noc.

— To będziem się bić i przebijem się. Nam to nie pierwszy raz. A wojska dużo?

— Ohoho!... Pełna wieś, a i za wsią w polu stoją pod płachtami, a konie na linkach pouwiązywane jeden koło drugiego, może na pół mili.

— Głupioby było tak na samej granicy... „Ruszaj" się zbłaźnił za tym razem.

— Mordować ludzi aż do śmierci to on potrafi, owszem, gnać po nocach, owszem. Wymyślać też — a jak przyjdzie do czego...

— A tymczasem, żeby nie „Ruszaj", tobyśmy już o tej porze ziemię gryźli...

— Albo tak, albo nie.

— Możeby i lepiej było.

— Lepiej to zawsze żyć.

— Oj, żyliśmy też, żyli przez te dwa tygodnie.

— Wydostanę sobie kartofla, bo mnie strasznie mdli. Już się trochę podgotowały.

— Dajże i nam jednego!

— Oj wódki-by teraz, wódki.

— Napijesz się dziś wieczorem galicjanki.

— Albo piwa grzanego u Abrahama...

Siedzący przy ogniu byli to przeważnie „państwo", prócz jednego wachmistrza Smyczyńskiego, który był gajowym. Było tam dwuch urzędników, pisarz od rejenta, uczeń aptekarski, syn dzierżawcy,

subjekt sklepowy, dwuch praktykantów gospodarskich, synów szlacheckich — sama młodzież. Najstarszy z tej kompanji był pan Chądzyński, młody nauczyciel gimnazjalny, bardzo szanowany w partji za swoją uczoność i za to, że był poetą, który nawet drukował swoje utwory w gazetach warszawskich. Szanowano go i za męstwo, którego nieraz dał dowody, ale lubiono w partji pokpiwać i z jego uczoności, i z poezji, a nawet i z tego męstwa, które było też jakieś zbyt poetyczne i zanadto nadzwyczajne. Szanowano go i za to, że prowadził djarjusz partji w wielkim nosie i że zachowa dla historji ich nazwiska, zasługi, bitwy i cierpienia. Ale pozwolono sobie pokpiwać i z tego pamiętnika.

Pan Chądzyński, oparty o sosnę, pisał ołówkiem w swoim wielkim, czerwonym notesie . . . . „dzień to ostatni i ostatnie są te moje słowa. Czuję to wyraźnie, jak gdybym własnemi oczami to widział moje skrawione ciało, leżące martwo na ziemi. Widzę zawczasu i poznaję tego „mojego" niewiadomego sołdata, który niewidzialny zdaleka, porazi mię kulą z za drzewa. Myślę jasno, rozumiem rzeczy niedostępne dla człowieka w innej chwili, jak jeno w takiej godzinie.

Jest we mnie teraz dwuch ludzi: jeden, który zginie dzisiaj — to ten prawdziwy ja. Drugi ocalony, żyjący długie lata.

Z radością i dumą patrzę na jego życie. Widzę jego wszystkie czyny i myśli. Piękną jest każda jego myśl, płodna jest każda w narodzie robota. Zewsząd chciwie wyciągają do niego ręce niemocni po klęsce rodacy. To, co im mówi, jest prawdą, z krwi i z cierpienia zrodzoną i życie nowe utwierdzającą w jego trudnych początkach. Mocne jego słowo i niezawodna wola. Przez cały młody wiek i przez dojrzały jego wiek aż do najpóźniejszej jego starości jednakowa i niezłomna jest jego wierność ojczyźnie.

Uczyły go głosy walk ponad siły i gwar bitew, jęki rannych towarzyszy, porzucanych po nocy, wycie tłuszczy kozackiej, łoskot morderczych strzałów i szum lasu nad biwakiem. Widziały jego oczy obrazy męstwa, piękne, jak czyny hoplitów greckich, a ginące w przegranej sprawie, wdeptane w ziemię, w dzikim leśnym ostepie, który krzywda dziejów nie da nigdy nazwać Termopylami. Widziały jego oczy obraz ponurych krzywd wojennych. Obraz karanych zdrajców. Obraz spalonego, zrabowanego miasta. Zhańbione kobiety, splugawione kościoły. I czarniejszą od piekła martwą ciemnotę ludu polskiego— niewinnego zbrodniarza, który łańcucha swego czepia się zębami i kąsa rękę, co go spuścić z łańcucha na wolnośc zamierzał, co mu ojczyznę jego za matkę dać zamierzyła.

Idzie w życie, nauczony mądrości, krwawo i ciężko zdobytej, w dostojnym trudzie aż do śmierci zasłużonej, aż do wiekuistego we chwale odpoczynku...

...Niema we mnie ku niemu zazdrości. Ani goryczy. Ani pokusy, żeby jak dziki zwierz wsunąć się w gąszcze leśne i na własną rękę próbować ocalenia. Szepczą mi głosy złe, żeby się odłączyć samopas, broń porzucić, ślady żołnierstwa z ubrania pozdzierać i przekradać się cichaczem, nocami, ku gościnnemu dworowi. Jako anioł stróż obiecuje mi zły głos ratunek pewny, opiekę, przechowanie.

Nakazuje mi w imię rozumu, w imę pożytku. Nazywa to, co zrobię, szaleństwem . . . .

Ale są sprawy, wyższe nad rozum. Przeto zginę, jak tylu współbraci, zostanę na pobojowisku, jak zostały tysiące. Bóg nie dał Polsce zwycięstwa, Bóg każe dzisiaj Polakowi tylko cierpieć i zechciał jeno w mądrości swojej krwi upuścić mojemu pokoleniu. Niechże płynie i moja! Oko Boga liczy trupy nasze — policzy ono i mojego. Nie człowiekowi badać wyroki boskie i odwieczne cele

Niech nasza krew ofiarna obmyje naród ze wszystkich obmierzłości, niech mu otworzy oczy na grzechy ojców naszych. Niechże wsiąknie i ta moja krew w tę łakomą krwi ziemię ojczystą! Niechaj ona ją użyźni ku lepszej przyszłości!

. . . . W tej godzinie rozumiem rzeczy, dla wielu niepojęte. Nie mam łez nad cierpieniem człowieka, bo cierpienia żąda wyrok nieba. Twardo sprawuje sądy nieodgadniony rozum świata..."

— Proszę pana Chądzyńskiego, trzaby skoczyć obaczyć, co się robi z pułkownikiem. Czemuż on nie wraca? Trzaby się naradzić w razie czego...

Stary Rykwiła był to jedyny chłop w oddziale. Był to chłop prawdziwy, na roli osiadły, nie rzemieślnik wiejski, nie łyk, nie dworak, ani parobek, który za panem czy za paniczem do powstania poszedł, jeno gospodarz z dziada pradziada. Bijał się mężnie, na panów był zajadły i nosił się ponuro. Dziwna nienawiść była w tym człowieku do pułkownika. I teraz podejrzewał, że „Ruszaj" poprostu uciekł.

Pan Chądzyński wyrwał swoje myśli jakby z tamtego świata i spojrzał przed siebie. Kilkunastu ludzi chrapało, broń stała w kozłach, a kilku siedziało przy ognisku rozzutych i suszyło buty.

— Nie bójcie się, wróci pułkownik.

— Taki jakiś ten dzisiejszy dzień... Kto mądry, ten czuje. A „Ruszaj" jest mądry! On już wymyślił sobie jakiś przełaz. Dla wszystkich ten sposób za ciasny, ale on jeden przelezie.

— Głupstwo.

— Głupstwo. On pan, jemu wolno. Czemu jednak i pana ze sobą nie zabrał, kiedy mu pan równy.

— Dla tego nie zabrał, że wróci.

— Akurat. Już z godzinę, jak go niema.

— Jeszcze się kartofle nie ugotowały, a u was już godzina.

— Poszedł sobie skrajem lasu ku jakiemu dworowi. Nocą się przekradnie i będzie cały. On wiedział, że my tu zginiemy. Nie dziwi mię, że tych tam ciaraszków za sobą nie wołał, bo to chłystki, ale że pana Chądzyńskiego nie wziął...

Pan Chądzyński wzruszył ramionami i zabrał się do pisania. Ale przy ognisku rozległy się wiwaty i okrzyki radości, jakich od jakiegoś czasu nie bywało w oddziale.

— Wiwat kartofle!

— Panowie wiara, towarzysze, do jedzenia! Ruszaj!

— Gotowe śniadanie. Gdzie sól?

— Wstawaj! Bataljon na nogi! Ruszaj!

— Ruszaj!

Wodę odlano z kotłów i w obłokach pary znikło wszystko. Zerwał się i pan Chądzyński.

Parząc się i dmuchając, pożerali ludzie kartofle ze solą, zapomniawszy o wszystkich przebytych trudach i o tym wiszącym nad niemi i dyszącym z lasu niebezpieczeństwie.

Jędrkowi też dano w czapkę kartofli. Chłopak jadł, bo był jeszcze naczczo, ale z pogardliwym politowaniem spoglądał na ludzi, chwalących sobie tak mizerne jadło.

Żuł te nieomaszczone ziemniaki i wyciągał rękę do soli.

A co wyciągnął rękę, to wysunął trochę postronka z pod wachmistrza Smyczyńskiego, który z tego łakomstwa ukucnął.

Aż za którymś razem przesunął się między ludźmi na czworakach tak szybko, że zanim się kto spostrzegł, wydobył się z koła, stanął na nogach i z postronkiem popędził w las. Tylko się raz mignął między drzewami. Poleciał za nim jaki taki, ale rychło powrócili. Wszyscy zaczęli gadać, co się stało, jak się stało, kto zawinił i co z tego będzie?

— Moją radą — zaczął Rykwiła — na pu!-
wnika niema co czekać, tylko brać nogi za pas.
ten chycel nam naprowadzi kozaków.

— Milczeć! Ja tu starszy — huknął Smyczyń-
ski. Chcesz, stary, po mordzie?

— Ano spróbuj!

— Ano masz!

— Nie bić!

— Nie bić się, Rykwiła, do nogi sztucer!

— Gdzie pułkownik?

— Na co nam pułkownik? I ja potrafię krzyk-
nąć „ruszaj“.

— Panowie — zaczął pan Chądzyński.

Nagle ucichło wszystko. Gdzieś bardzo zda-
leka rozległy się strzały. Stukały gdzieś po lesie po-
jedyńczo, nieregularnie, jakby nieśmiało. Aż zaczęły
raz po razu trajkotać salwy. Jeszcze przez chwilę
trwali wszyscy w osłupieniu — i zaczął się gwar,
okrzyki, ludzie obuwali się na gwałt, nakładali worki,
rozbierali broń z kozłów.

Salwy grzmiały bez ustanku.

Nadbiegły obudzone wystrzałami placówki. Od-
dział sformował się i był gotów do wymarszu. Śpie-
sznie ładowano do worków, do kieszeni pozostałe
kartofle. Stary Linkiewicz, który od czasu zgubienia
syna wpadł w manję, zaczął się głośno modlić. Szy-
ler, urzędniczek, i Gadziński, szlachecki syn, rwali
się do bitwy, głośno dopominając się, żeby prowa-
dzić na strzały, bo i tak już wszystko jedno. Gali-
cjanin Szymborski, uczeń gimnazjalny, pierwszy za-
uważył, że to strzela piechota. Na to Wiklarski,
pisarz od rejenta, zawołał trzykroć, jak nieprzytomny!
— Śmierć, śmierć, śmierć! — Pilawiec, dworski fur-
man, zawołał uroczyście, jakby oznajmiając coś no-
wego, co sam wymyślił: „Raz kozie śmierć“. A na
to Linkiewicz: „Wieczne odpoczywanie racz nam
dać, Panie!“... Pan Chądzyński nerwowo wodził

dłonią po bagnecie sztucera, a Smyczyński, nie słuchając, co gadano, patrzył pilnie a niespokojnie w tę stronę lasu, gdzie poszedł pułkownik. Rykwiła patrzył na niego ponuro, z pode łba, ale milczał.

— Ejże prażą! Rotami walą!

— Nasi to są ludzie. Z naszej partji. Aż tu ich wparto!

— Jeżeli to konny oddział, to choć niektórzy dopadną granicy.

—Akurat konni. Do konnych-by tak nie strzelali. Ależ walą.

— Jak pójdą w las, to się wpakują na nas, a za niemi Moskale.

— Będzie nas więcej.

— Będzie więcej trupa.

— Razem zawsze lepiej.

— I żyć i umierać...

— Przejdziem my granicę, ale do królestwa niebieskiego.

— Mamy po sto dwadzieścia ładunków. To rozumiem!

— Ja tam się nie poddam. Wystrzelam wszystkie naboje.

— A oni będą czekać, aż sto dwadzieścia razy wygarniesz. I oni nie kluskami strzelają.

— A wiesz że mi się chce spać?

— „Ruszaj“ tam siedzi na drzewie i patrzy. Co nam z tego przyjdzie? Zabrałby nas i poprowadził. Najgłupiej tak stać i czekać i nic nie wiedzieć.

Poranne słońce wydobyło się nareszcie z chmur, które wisiały na niebie od nocy.

Wesoło się zrobiło w lesie. Przez przerzadzone z liści gałęzie wpadały do lasu ciepłe promienie. Migotały na słońcu chwiejące się gęsto i bez ustanku spadające żółte, bure, czerwone liście bukowe. Cisza była, powietrze stało bez ruchu, w oddali wpadało w las raz po razu niespokojne zgrzytanie

salw, jak gdyby ktoś roździerał i pruł nad samemi uszami sztywne, oporne, mocno utkane płótno. Między drzewami biegał wystraszony zajączek i raz po razu przysiadał, zwracając się w stronę wystrzałów. Zrywał się, podlatywał, przysiadał, aż ocknął się tuż przed gromadą groźnych ludzi.

Osłupiał i przysiadł, rozpaczliwie strzępnąwszy słuchami. Porwał się ku niemu któryś z młodzieży i byłby go niechybnie złapał rękami, gdyby nie krzyk znajomy:

— Baczność! Na ramię broń!

Pułkownik stanął przed niemi niespodziewanie, bo ukazał się nie od tej strony, w którą poszedł, Zato trzymał garścią za czupryne, Jędrka, który płakał. Przyszedłszy przed front, puścił chłopaka, dał mu jeszcze stołka kolanem i oddał go w ręce wachmistrza. Wszyscy wbili oczy w naczelnika z pytaniem, z nadzieją, ze strachem, co powie,

— W łąkach za rzeką mordują naszych! Jest ze sto ludzi. Ogarnęli ich od lasu kozacy, a piechota atakuje. Noga z nich nie ujdzie!

— Idźmy na pomoc! — zawołał, wystąpiwszy z szeregu, młody Szymborski.

— Milczeć, szczeniaku, kiedy cię nikt o radę nie pyta. Dwa bataljony następują, za pół godziny będzie z niemi koniec. Tymczasem my się przemkniemy. Pośpiech! Rozumiesz jeden z drugim? Co siły w nogach! Zrzucać worki, płaszcze, wszystko — tylko pilnować ładunków, jak oka w głowie. Podpasać się, nogi opatrzyć — buty dobrze opatrzyć, bo potym na nikogo nie będzie czekania. Macie na to pięć minut czasu.

— Dalej! Ruszaj!

— Panie pułkowniku! Czy jest jeszcze jaka nadzieja? — spytał któryś ze synów szlacheckich.

— Nadzieja! — Też słowo żołnierskie. Jest i Wiara i Miłość i Święta Zofja z trzema córkami.

Nadziei niema, ale jak będziecie nogi wyciągać, to się wydostaniem — właśnie dla tego, że jest bitwa.

— Hańba uchodzić z pola bitwy...

Ale Smyczyński ujął „Szymborczaka“ pod gardło swoją chłopską garścią i, potrząsnąwszy nim kilka razy, doprowadził do opamiętania. Pułkownik spojrzał na chłopca serdecznie. Gdybyż to miał takich jeszcze dziesięciu, pokazałby on dzisiaj swoim „apszeroncom“, jak to wyglądają prawdziwi powstańcy i jak to giną polscy żołnierze.

Pognali gęsiego przez las. Jędrek, prowadzony na postronku, pokazywał drogę. Szybko wydostali się na wązką drożynę leśną i z pół godziny szli wartko w zupełnym milczeniu, tylko suche liście szeleściły im złowrogo pod nogami. Który był słabszy, przemagał się, a zdążał za innemi. Wszelako po jakimś czasie rozerwał się łańcuch ludzi. Przyzostali: czeladnik piekarski Frączek, który miał odparzoną nogę, Gońca, dworski gajowy, chory już od tygodnia, i pan Gołoński, wędliniarz z Turobina, którego losy powstania i jego partji zaniosły aż w te strony, a który utracił już oddawna całą swoją otyłość rzeźnicką, ale nie mógł się pozbyć zatykania w gardle i duszności. Rzęził, chrapał i z wytrzeszczonemi oczami, ponsowy z wysiłku, został na samym końcu. Z rozpaczą widział, jak szybko oddala się kolumna, z rozpaczą widział, jak oddalają się od niego nawet ci dwaj, co przyzostali w tyle. Nikt się nawet za nim nie obejrzał. Chciał wołać, ale nie mógł głosu wydobyć. Chciał przystanąć, żeby złapać oddech i krzyknąć — ale bał się stracić bodaj jedną chwilę. Biegł drobniutkiemi kroczkami, zataczał się i czuł, że lada chwila upadnie.

Pan Chądzyński dobrze znał pułkownika i wszystkie jego dziwactwa. Zastanawiał go też bardzo pewien szczery i całkiem swobodny uśmiech,

jaki ożywiał twarz „Ruszaja“. Uśmieszek ten przywarł do niego od chwili wyruszenia z biwaku i wydawało się, że pułkownik śpieszy się ku czemuś niezmiernie miłemu i radosnemu, co stać się ma lada chwilę, bardzo prędko — ale przecież im prędzej, tym lepiej. Wbrew swemu zwyczajowi naczelnik nie zważał zupełnie na oddział, nie popędzał zostających w tyle, nie wymyślał. Pan Chądzyński pociągnął go za rękaw i zapytał oczami.

Pułkownik przystanął i, kiedy ludzie ich wyminęli, poszli obok siebie z tyłu oddziałku.

— Niech pułkownik gada, co wie. Mnie można. A ja powiem, że strasznie mi się nie chce za kordon.

— Rzecz gustu. A tym się nie chce...—wskazał na idącą przed nim gromadę.

— Między niemi jest jeszcze z pięciu co też są gotowi...

— Błazeństwo! Żeby był choć jeden pluton— toby było coś... Pan-byś wyleciał w pięciu z lasu na dwa bataljony, jak ten galicyjski uczniak? Nie uchodzi na wojnie taka pantomina!

— Okropnie słuchać, jak tamtych wycinają w pień.

— Na wojnie dużo przykrości. To jest nic. Gdyby nam teraz drogę zastąpili, tobyśmy wydali batalję według wszelkiej nauki wojskowej. Niechbyśmy wpadli na cały pułk — jabym się bronił do upadłego, bo to jest rzecz honoru wojskowego. I to jest piękne — idzie cały pułk na dwudziestu. Ale w pięciu rzucać się na pułk dla fantazji — to za głupie i za poetyczne. I na taką rzecz nie pójdą nasi ludzie. A inna rzecz — jak będzie potrzeba — łajdaki oni, wystraszone to, a wymizerowane, że patrzeć nie można, a jednak niech w tej chwili nam zastąpią drogę — to się będą bronić wcale porządnie. Pan nie wojskowy.

— I pułkownik naprawdę myśli, że my do tej granicy...

— A zobaczymy, co tam za lasem.

— Możeby ludzi uprzedzić, umocnić.

— Umacniać zawcześnie — to znaczy tylko gorszego strachu napędzać! Niech sobie wierzą, że uciekniemy. Ha ha... Widzisz pan, jak się spieszą?

Pan Chądzyński spojrzał bystro na pułkownika, który uśmiechał się dobrotliwie.

— A jak dziś przejdziemy kordon — co pan będzie robił? Będziesz pan jeszcze wracał z jaką nową partją?

— A pułkownik?

— Ja panu powiem: mnie tam nic nie obchodzi polityka, ani dyplomacja. Ani to, czyśmy już ze szczętem przegrali, ani to, czy tam jakie Francuzy... Ja żołnierz i moja rzecz bić się do upadłego. To też jeżeli mi dadzą stu ludzi podmustrowanych i gdzie będzie choć ze dwudziestu dawnych żołnierzy — to wracam, tylko się wyśpię. Ja nie mogę wstydu się najadać przed Moskalami. Na wojnę się idzie z żołnierzami. A nasi — jak przyjdzie do czego — to jedni chcą tylko umierać — a inni tylko uciekać. Rób tu obroty z takiemi.

Żołnierzy panu nikt nie stworzy. Duch znaczy wszystko. Duch tworzy cuda!

— Nie gadaj pan głupstw! Na wojnie znaczy żołnierz, co umie strzelać i co ma z czego strzelać i który słucha i ma kogo słuchać. Tego u nas nigdy nie było, ale zato ducha — ohoho... Pan nie wojskowy!

— Czemu pan ciągle taki uśmiechnięty, panie pułkowniku?

— Bo czuję blizko granicę. Będę dzisiaj spał. Przez dwa tygodnie nie dosypiałem, a przez trzy noce całkiem nie spałem.

— Wszyscy my będziemy dzisiaj spali...

— Tak pan prorokuje? Ha, ha, zobaczymy.

Salwy terkotały bez ustanku i stawały się coraz groźniejsze. Echo leśne powtarzało wiernie każdy odgłos. Raz po razu między gałęziami przelatywały, kracząc, wrony. Z ludzi lały się strugi potu, zrzadka odzywało się słowo. Szybko przesuwały się drzewa. Jędrek zapowiadał, że za dwa pacierze wejdą w poręby, przez które środkiem idzie gościniec. Na tę wieść o gościńcu westchnął 'jaki taki i żal mu się robiło gęstego lasu. Nagle wystrzały ucichły. Przyszło zato zdaleka granie trąb. Powtarzał się jakiś sygnał, oddalał się, przybliżał, zlewał się w bezładny chór, zawisł jeszcze w powietrzu oderwany jego pojedyńczy dźwięk i w tejże chwili zaczęły się głuche, przeciągłe wrzaski i wycia ogromnej gromady ludzi. Zlewały się z niemi echa leśne.

— Stój — krzyknął pułkownik. Baczność! Równaj front! Do szeregu!

Wyszedł przed front, oparł sztucer o ziemię i szerokim ruchem zdjął kaszkiet.

— Słuchajcie, bracia! Tam nasi giną! Już na nich idą na bagnety — to koniec. I oni chcieli do granicy — a jak nieprzyjaciel zastąpił — stoczyli batalję i wyginęli mężnie. Tak i my! Słyszycie, jaki tam krzyk? Na ura idą sołdaty. I nam wolno się ratować, ale jak trzeba będzie, zginiemy mężnie! Co? Jak tamci za lasem! Cześć ginącym braciom. My im pomóc nie mogli, bo nas garść — ale jak po drodze da się co urwać — to pójdziem. Co? A jak nas zaczepi rota, dwie roty, albo i cała brygada — to żaden z nas się nie podda. Po żołniersku zginiemy, po polsku! Cześć mężnym! Ruszaj!

— Oddział baczność! Oddział, prezentuj broń!

Stali we dwa szeregi wzdłuż drogi i oddawali honory ginącym za lasem. Stopniowo umilkał rejwach bojowy. Zrzadka padł jeszcze samotny strzał.

Ustalała się już cisza, aż uderzyła w las kapela wojskowa. Hucznie, tryumfalnie grzmiały trąby i głucho, jak rytmicznie zdaleka dochodzący strzał działowy, odbijał bęben takt bojowego marsza.

Pułkownik stał sztywno, jak na paradzie, z odsłoniętą głową i twarzą ku dalekiej bitwie. Jego żołnierska dusza oburzała się na swoją ciężką krzywdę. Nie dał Bóg Polsce zwycięstwa, nie dał jej czasu zorganizować armję, nie dał jej ginącym wojownikom nawet tego miłego uchu żołnierza dźwięku trąby wojennej, co przygrywa do dzielności i krew do boju zagrzewa.

Nadeszli na to trzej zapóźnieni i stanęli, dysząc ciężko. Pułkownik odsunął oddział w las, nakazał ciszę i poszedł ku porębie ze Smyczyńskim, prowadząc na postronku przewodnika.

Gołoński—wędliniarz—położył się na ziemi i rzęził.

— Cóż z wami będzie?

— Wody — na miłosierdzie boskie.

— Wody niema, ale jakże wy dalej pójdziecie?

— Zostanę tu, zostanę, nie bójcie się nic. Kozacy mnie tu znajdą i dobiją.

— Pomożemy wam. Weźmie was dwuch mocniejszych między siebie pod pachy. Wydychajcie się tymczasem...

— Gnać się dalej tak nie będzie.

— Bić się tu chyba będziem gdzie niedaleko.

— Proszę was, bracia... każdego zosobna, który się dzisiaj uchroni... Do żony mojej napiszcie do Turbina...

...Litości, kroplę wody w godzinę skonania... Moje pożegnanie i błogosławieństwo dla dzieci...

...Niech wiedzą dzieci, żem dla ojczyzny... O Boże miłosierny, ratuj!... Napiszcie, żem w ostatniej chwili...

I pan Gołoński zaczął się dusić. Ratowali co, jak mogli.

— Panowie bracia! Koledzy—zaczął pan Szymborski — postanówmy sobie i przysięgnijmy sobie, że żaden się żywy nie da. Pomścijmy braci! Mamy po sto dwadzieścia ładunków. Dwie godziny się możem bronić. Chwałą się okryjemy. Nabijemy Moskali. Koledzy!

— Módlmy się, bracia. Na kolana padnijmy i opiece boskiej się oddajmy! Ręce do nieba podnieśmy i wołajmy z ufnością: Kto się w opiekę odda panu swemu!

— Cicho, stary, módl się pocichu. Zgłupiał z tego strachu...

— Ja się nie boję, bo Bóg nad nami!

— To wiadomo, ale Moskal bliżej.

— Nie bluźnij, bo wszyscy przez ciebie zginą!

Cisza zrobiła się za lasem. Ludzie uspokoili się i jaki taki układał się już do spania. Po kwadransie spała już połowa. Pan Gołoński leżał nawznak bez ruchu i bez kropli krwi w twarzy, z głową opartą na kolanach Rykwiły, który siedział pod bukiem i spał, chrapiąc głośno. Stary Linkiewicz modlił się, klęcząc ze złożonemi rękami, z głową opartą o drzewo. Słońce przedostało się do nich przez obnażone gałęzie i w jego ostrym świetle pisały się na twarzach ludzkich wyraziście okropne trudy pochodu.

Przeglądało słońce obszarpany przyodziewek żołnierzy, uwalanych w ziemi, ich nędzne buty, ich broń, dawno nie czyszczoną. Barwne liście bukowe migotały na słońcu i spadały na nich spokojnie, jak cichy śnieg. Wszyscy już spali: spali, siedząc oparci o drzewa, leżeli nawznak lub twarzami do ziemi, opierali się o siebie nawzajem, tulili się do siebie, lub chrapali, rozwaleni w pojedynkę opodal. Linkiewicz modlił się ze wzdychaniem i głucho bił się w piersi. Pan Chądzyński pisał.

„...O czym może śnić człowiek, który ma umrzeć za chwilę?

„Ile lat musi minąć, zanim Polska dźwignie się po klęsce?

„Jakie pokolenie żyć będzie po nas? Czy długo nas będą wspominać? Czy sprawiedliwie osądzi nas potomność? Co nam będą pamiętać, czy nasze trudy i męki, czy też tylko to, że przegraliśmy sprawę?

„Słodką jest chwila poświęcenia. Łaskawy jest uśmiech wieczności, witający zbliżającego się ku niej człowieka. Wszelka słabość płynie z ciemnoty. Gdybyż wiedzieli to, co ja, ci śpiący ludzie... Byłby między nami spokój, byłaby cicha radość...

„I ja zostawiam życie, przyjaciół i kobietę kochaną, która nigdy nie dowie się, żem ją kochał i że myślałem o niej w ostatnich moich chwilach... A już niczego nie żałuję. Odeszło ode mnie wszystko, co jest z tego świata. Niema już we mnie nienawiści do wroga, choć lada chwila będę słał ku niemu mordercze kule, zanim mi nie wytrącą broni z ręki. Ślepi są ludzie, dopóki żyją na ziemi..."

Pan Chądzyński podniósł głowę na szelest liści na drodze. Nie spodziewał się nikogo innego, jak tylko pułkownika z wachmistrzem i przewodnikiem, jak gdyby nie było już innych ludzi w całej okolicy. Niewyraźnie przez drzewa i krzaki zobaczył dwuch konnych, jadących stępa.

Głośno szurały po liściach kozackie konie. Pan Chądzyński spojrzał niespokojnie na śpiących, potym drgnął całym ciałem na myśl, że tamci dwaj poszli ku porębie i że to ku nim jadą kozacy. Dwaj konni znikli mu z oczu — tylko szelest liści szedł jeszcze za niemi przez chwilę i umilkł. Zaczął rozmyślać pan Chądzyński — czy budzić śpiących — czy iść na pomoc tamtym, czy i co należało robić. Czekał, czy za temi dwoma nie jedzie większa siła. Nadsłuchiwał bacznie, aż wreszcie poznał, że kozacy byli przywidzeniem zmęczonego bezsennością i trudami umysłu. Bo oto teraz po węzłowatym pniu

bukowym biegnie ruda wiewiórka, za nią druga, trzecia, dziesiąta. Wszystkie zwierzątka z całego lasu wyłażą na ten jeden buk. To widzi wyraźnie — a to przecie nie jest prawdą. Za drzewami biega tam i z powrotem jakiś pies czy wilk i znowu staje się bardzo dużo i psów i wilków. Ludzie śpiący, którym się przyglądał, uśmiechali się wszyscy przez sen. Uśmiechał się i modlący się na klęczkach Linkiewicz. Ale pan Chądzyński dobrze wiedział, że to tylko złudzenie. To dziwne i zabawne — pomyślał i zasnął.

Znalazł się wśród rodzinnego miasta o jakiejś bardzo wczesnej godzinie. Ulice były puste, bramy i sklepy pozamykane. Dąży do czegoś, śpiesząc się gorączkowo, i błądzi, zawraca i nie trafia w ulicach znajomych od dziecka. Nareszcie otwiera się okno na drugim piętrze — w oknie ona. Staje oczarowany. Nigdy na niego nie patrzyła tak, nigdy się tak nie uśmiechnęła. Woła do niego: „pójdź!" Brama zamknięta, więc idzie po ścianie, czepiając się za co może, podnosi się szybko, z łatwością. W oknie ona podaje mu obie ręce, zbliżają się ku jego twarzy okrutne, cudne oczy i rozchylone usta. Ogarniają go płomienie niewiarogodnej rozkoszy.

Tuman snów unosił się nad powaloną przez trudy gromadą. Rafalski — kasjer pocztowy - uczynił jakiś fatalny błąd w rachunkach i po raz setny sumuje olbrzymią kolumnę cyfr, śpiesząc się niezmiernie i myląc się nieustannie. Morduje się i gorączkuje—bo w drugim pokoju siedzi pan pocztmistrz i czeka, uśmiechając się zjadliwie. Rafalski widzi, jak świdruje w nim złemi oczami z za okularów. On go śmie posądzać! Rafalski za chwilę zerwie się i znieważy naczelnika. Ale spostrzega, że stary urzędnik już kiwa ku niemu dobrotliwie ręką i uspokaja go: — panie kasjerze, daj pan spokój rachunkom. Teraz już wszystko jedno, jakie tam już teraz rachunki.

Patrz pan, co się dzieje.—I czyta głośno z gazety jakieś straszliwe, niewiarogodne nowiny, o niepojętych przewrotach, o tym, że księżyc zbliża się do ziemi „powoli ale stale" i że za trzy tygodnie nie będzie ani śladu z życia ludzkiego. Nieprawda! woła Rafalski. Ano, to pan czytaj. Pan pocztmistrz podchodzi i podaje mu numer. Ale Rafalski odpycha go i nie chce patrzeć! Okropny jest jego strach.

Szymborski mocował się z napastnikiem, który przygniótł go całym swoim ciężarem, dusił go za gardło i usiłował mu odebrać jego ładownicę ze stu dwudziestu nabojami. Rozpaczliwie broni jedynego swego skarbu, ale już omdlewa od wysiłków i, widząc, że nie poradzi, zaczyna targować: „dam ci dwadzieścia ładunków — tylko mnie puść!..."

. . . .

Deptały po zmożonych ludziach ciężkie majaki. Szturmowały do nich stare wspomnienia życia, wyprawiały się przed niemi niepojęte dziwolągi, dusiła ich zmora. Przewracali się, jęczeli przez sen, męczyli się. Każdy przeżywał w tym śnie coś najtajemniej własnego, każdy w tym krótkim uśpieniu coś dla siebie wyczytał i odgadł. Nie śniło się nic tylko Linkiewiczowi, który się wciąż modlił, i Gołońskiemu, który już skonał i leżał po dawnemu z głową opartą na kolanach chrapiącego Rykwiły.

Z wielkim trudem i znowu z kopaniem i z szarpaniem budził ich pułkownik ze Smyczyńskim. Powoli gramolili się ku wstawaniu pomordowani ludzie, powoli przychodzili do przytomności i spostrzegali, gdzie są i co się z niemi dzieje. Pan Chądzyński po tej chwili snu czuł się wypoczętym i rzeźkim. Pułkownik i wachmistrz mieli łyskające oczy i zawziętość w twarzach, a bagnety mieli obaj czerwone. Jędrek, który wciąż chodził za wachmistrzem na postronku,

trząsł się, jak w febrze, był blady i oczy rozwarły mu się szeroko.

— Co się stało?

— Nic. Dwuch kozuniów na nas wlazło przypadkiem. Nie zdążyli nawet krzyknąć. Trza ich będzie poodciągać z drogi dla niepoznaki, bo mogą przechodzić inni. Konie przywiązaliśmy w lesie. Wstawaj! Ruszaj!

— Co słychać, pułkowniku? — spytał szeptem pan Chądzyński.

— Nic, droga niby wolna. Jeżeli chłopak nie łże, to te lasy za gościńcem idą aż do samej granicy. Możemy dojść — dlaczego nie? Możemy... Trzebaby tylko przez tę porębę jakoś delikatnie. Pusto, psiakrew, goło — widać naokoło na jakie trzy wiorsty...

— A Gołoński umarł, panie pułkowniku. Krew go zalała.

— Daj mu tam, Boże! Ładunki i broń zabrać!

— Linkiewicz nie chce iść za nic.

— Ej, ty! Organista! Choć z nami, będziesz się modlił po drodze. Wstawaj, bo cię tu znajdą! Słyszysz! Ruszaj!

Ale napróżno tłumaczono mu i szarpano go na wszystkie strony. Stary głowę zadarł do góry, a oczy już miał zupełnie błędne i nie widział nic, prócz jakichś rzeczy tajemnych, które się działy tam wysoko w przestworzach niebieskich. Zabrano jego sztucer i naboje i zostawiono ich obu. Pan Chądzyński, który szedł na samym końcu, obejrzał się jeszcze raz. Trup Gołońskiego leżał z twarzą, przykrytą kaszkietem żołnierskim, a stary Linkiewicz klęczał u jego stóp z rozkrzyżowanemi ramionami i patrzył w niebo i modlił się głośno.

. . . .
. . . .

Około czwartej po południu wyszedł już z ludzi ostatek sił. Wlekli się wszyscy w kupie, noga za

nogą, opierając się na sztucerach, zataczając się i ledwie dysząc. Granica musiała być już gdzieś bardzo blisko. Jaki taki pomyślał sobie, że może nawet są już za linją kordonu i, nic o tem nie wiedząc, mordują się tylko niepotrzebnie. I tylko ta bliskość granicy podtrzymywała cudem siły ludzkie. Ale wszystko ma swój koniec.

Nastąpił moment, kiedy kilku odrazu zwaliło się na ziemię i nie mogło już powstać.

Pułkownik błagał ich, żeby się jeszcze przemogli.

— Tylko pół godziny, ani minuty więcej! Słyszycie? Pół godziny — z zegarkiem w ręku — i spanie! Pół godziny — i żarcie i wolność! Ruszaj!

Nic to jednak nie pomogło. Należało wytchnąć. Rozłożyli się w krzakach na brzegu sporej polany, na której stały samotne purpurowe buki i kilka bladożółtych klonów. Rozłożyli się w łańcuch frontem do polany, mając za sobą las — i granicę. Nakazane było nie spać i trzymać broń gotową. Większość jednak już po minucie zaczęła chrapać, a reszta z głodu gryzła i żuła gałązki bukowe lub pożerała surowe grzyby.

Mijały właśnie cudowne godziny jesiennego południa. W ciepłych promieniach słońca, w zapachu więdnących liści rozpowijał się rzewny smutek i słodka, niewyrażalna tęsknota. W smętnej łaskawej pogodzie stały wielobarwne buki, srebrzyły się pajęczyny po łące.

— Jędruś — mówił dobrotliwie pułkownik. — Rozważ ty, chłopcze, jeszcze raz! Wymiarkuj sobie, kochaneczku, i obejrzyj się, póki czas. Czyś ty się aby nie zmylił? Już się teraz przyznaj. Mów prawdę. Nic ci nie będzie.

— Ja, proszę wielmożnego pana pułkownika, tędy lasami nie chodził. Ale ten las jest rządowy i nazywa się Buczynowski las. U nas wszyscy wiedzą, że on podchodzi pod samą Austrję. Tędy

dużo szwarcunku chodzi w spokojny czas, a w tę wojnę i trzy razy tyle. Nasi ludzie wszędzie tu mają swoje przechody, ale ja tu nie bywał, przepraszam wielmożnego pana...

Smyczyński słuchał pochmurnie, ponuro patrząc na chłopca.

— Gadaj, chłopak — rzekł — daleko teraz do tej twojej wsi? Pokaż, w której stronie Namłotów?

Jędrek zafrasował się. Prawdę powiedziawszy, nic on już nie wiedział. Ani gdzie jest wieś, ani gdzie jest „Austrja", ani też — w którą stronę teraz idą. Bał się niezmiernie powstańców, bo ludzie gadali, że oni za byle co wieszają na gałęzi. Z tego strachu kręcił, jak mógł, i łgał, że Namłotów jest o dwie godziny drogi — bo „obeszliśmy wkoło lasami i że teraz wieś się przybliżyła", że granica „ino patrzeć". Uspokajał pułkownika, że tu żadnego wojska być nie może, bo cesarz austrjacki nie pozwolił Moskalom zblizka podchodzić, że dalej, jak za Namłotów, kozaki nigdy nie chodziły i t. d.

Jędrek był chłopak rozgarnięty i byłby innego czasu wszędzie trafił. Ale od tej chwili, kiedy pułkownik i wachmistrz, do którego był przywiązany na postronku, zaczęli żgać bagnetami w kozaków i kiedy kozaki zwaliły się z siodeł, pomroczyło mu się w głowie. Okolica tamtejsza była jeszcze znajoma i tam wszystko wiedział. Ale po tym zaczęło się chodzenie po nieznajomych lasach.

Mijali polany, poręby, bagienka leśne, stare lasy, jakieś zagajniki. Napotkawszy jaką osadę ludzką, już zdaleka zbaczali w las, nadrabiając drogi i okrążając niebezpiecznych ludzi. Jędrek chciał z duszy trafić, jak trzeba, bo bał się bardzo pułkownika i spodziewał się, że go panowie hojnie nagrodzą, a zresztą dumny był z tego, że on, Jędrek, prowadzi całą „partję". Szedł wprawdzie na sznurku, ale na ramieniu trzymał sztucer, a u pasa

miał ładownicę. Zdawało mu się, że jest żołnierzem, i okropnie mu się chciało ten sztucer i tę ładownicę przynieść ze sobą do domu. Zasługiwał się więc, jak mógł, ale teraz czuł, że zbłądził.

Pułkownik, miarkując według słońca, wiedział, że kierunku naogół nie utracił, ale o tej porze sam już sobie nie dowierzał. Mimo całej odporności i woli co chwila zasypiał. Zapadał w chwilowe odrętwienia podczas pochodu, szedł, jak nakręcony, mówił machinalnie i czuł, że śpi. Po chwili budził się i niezmierne znużenie podcinało mu nogi. Przemagał się, a dla ulgi wymyślał swoim ludziom, wlokącym się, jak po smole. Bezładne obrazy przesuwały mu się przez głowę.

Pierwszy tryumf — zabranie transportu nieprzyjacielskiego i zniesienia do szczętu roty piechoty wraz z oficerami... Wielkie nadzieje, wszędzie szczera ochota do walki. Gościnne i ofiarne dwory, posłuszne chłopstwo, sprawnie działająca machina wojewodów, naczelników, komisarzy, skarbników i powódź instrukcji i cyrkularzy, które znamionowały, że ktoś ruchem rządzi. A lada moment na to wszystko miał przyjść i wszystko objąć gienjalną głową i mocną ręką pan Ludwik, prawdziwy żołnierz i prawdziwy rewolucyjny gienerał. A oto Langiewicz.

Zamęt i zajadłość dyskusji z nieznajomemi komisarzami, przybywającemi od tajnego rządu z poleceniami, pełnemi dziwolągów. Kłótnie w szeregu, polemiki i rozłamy po lasach podczas pochodu, w obliczu nieprzyjaciela. Kogo słuchać? Co robić?

Znowu moment szczęścia. Przyszły sztucery belgijskie. Znowu strapienie: gdzie ładunki?

Zaczęła się nareszcie wiosna, ustalała się pogoda. Miło się zrobiło w lasach. Z dnia na dzień na spodziewaniach, oczekiwaniach, na pochodach

i kontrmarszach, na obozowaniu i rzadkich drobnych utarczkach zeszło lato. Wciąż się coś miało zacząć naprawdę. Ot jutro — ot pojutrze — ot za dwa tygodnie. Ale wciąż było tylko tosamo. Wielkie było święto, jak się dało coś urwać. Niezmierna, dziecinna radość panowała wówczas w obozie. Nikt nie wiedział, że na wojnie takie tryumfy nic nie znaczą. Pułkownik tęsknił do planu, do wodza, do wielkiej armji. Tak zeszło — ot i koniec... Robił co był powinien, aż do ostatka, ale wiedział, że właściwie nic nie zrobił.

Myśli te były smutne, ale pułkownik nie poddawał się nigdy rozpaczy. Wiedział, że nic on tu nie zawinił, więc był, jak zawsze, spokojny w duszy swojej. I jak zawsze był na coś zły. Pułkownik miał niezłomne przekonanie, że dowódca powinien być zły i opryskliwy o każdej porze dnia i nocy i w każdej okoliczności. Inaczej niema dyscypliny. To też złościł się bez przerwy przez cały czas kampanji, tymbardziej, że nie było takiego dnia i godziny, żeby nie miał zaco i na kogo.

A teraz do wściekłości doprowadzała go myśl o tym jego pułku, który, jak to wiedział zawczasu, operował nad granicą. Najtajniejszym marzeniem jego od czasu, jak złamał przysięgę wojskową, było— spotkać się na polu bitwy z dawnemi kamratami. Była w tym pewna kawalerska i próżna chełpliwość — popisać się przed staremi znajomemi. Były w tym jednak i mściwe uczucia i nieubłagane porachunki.

Porucznik Zawalenko i kapitan Batyszyn byli to wrogowie, których kazałby powiesić, gdyby ich złapał. Oni to bowiem jeszcze na długo przed powstaniem publicznie zapowiadali, że w razie wojny z Polakami porzucą służbę. A jemu poufnie przysięgali, że wstąpią do szeregów powstańczych, służyć swoją sztuką wojskową słusznej sprawie, walczyć

o wolność Polski i o wolną Rosję. Wtajemniczeni byli obadwaj w ważne roboty spiskowe, przygotowawcze. A kiedy przyszedł miesiąc styczeń, ostali w wierności. Kiedy ich widział po raz ostatni, jeszcze będąc w mundurze rosyjskim, już mieli zimne, oficjalne twarze. Nie rozumieli zupełnie, o co mu chodziło, i tak znakomicie odegrali komedję zdumienia, że pułkownik przypuszczał, że sam zwarjował i że wszystko, co było przedtym, i to, czego się od nich domagał — było tylko majakiem. Przeraziło go to. Kilka godzin spędził w okropnej walce o zdobycie jasnego sądu o tym, co zaszło. I zrozumiał nareszcie i przebolał ten srogi zawód.

Ale raną jątrzącą był dopiero porucznik Kiryłow. Tamci byli to koledzy, ludzie zaufani, którzy mogli być dla ruchu pożyteczni — ten był najszczerszym i jedynym na ziemi przyjacielem. Kolegowali ze sobą w szkole wojskowej. Razem w pułku dobijali się pierwszych stopni oficerskich. Razem pili, razem marzyli, mieli wspólną kasę i wspólną każdą myśl, razem mieszkali i jak jeden człowiek jednocześnie zakochali się w jednej i tejsamej pannie. Jemu to zeszedł z pola późniejszy pułkownik, kiedy przyjaciel zakochał się i zakochał się śmiertelnie i przez jakąś fatalność właśnie w „niej“, w tejsamej... Dla niego wyrzekł się panny, jakiej drugiej nie mogło już być na świecie. Pomagał mu u panny, która się w nim właściwie zakochała — toczył z nią tajemnicze narady, podczas których krwawiło się mu serce, i oddał ją przyjacielowi. Bo groził Kiryłow, że się zastrzeli. Trzymał nad nią koronę w cerkwi podczas ślubu i przez cały czas trwania obrzędu ręka mu się nawet nie zatrzęsła.

Olga była Rosjanką, Olga byłaby drugą Pustowójtówną — gdyby...

Kiedy oboje żegnali przyjaciela, idącego do walki, — Kiryłow miał tam za nim pośpieszyć i w połowie lutego miał się już stawić. A pozostał. I kiedy pułk wyszedł w pole, poszedł z pułkiem.

Temu człowiekowi chciałby pułkownik spojrzeć w oczy. Z tym chciałby się spotkać w polu, w tej godzinie bitwy, — kiedy to piechota już biegnie do ataku. Pułkownik nie wiedział, coby zrobił z przyjacielem. Możeby go zamordował z rozkoszą, możeby stanął, odrzucił broń i spytał: „cóż, zabijesz mnie?"

W ciągu całego dnia od chwili, kiedy zobaczył z lasu bitwę na łęgach nad Czarną i poznał przez lornetę barwy swojego pułku, obraz ten stał mu wciąż przed oczami. Teraz stracił już nadzieję spotkania.

Drzemał i budził się. Zamyślał się, a myślenie przechodziło w sen. Kiedy się ocknął i otworzył oczy, oblał go zimny pot.

Na przeciwległym brzegu polany ostrożnie wynurzał się z zarośli łańcuch piechoty. Na lewym skrzydle kroczył, czając się, Kiryłow i pokazywał na niego szablą żołnierzom. Pułkownik osłupiał i nie miał władzy ruszyć się z miejsca, ani nawet krzyknąć na swoich. Wszyscy śpią — myślał z rozpaczą.

Tymczasem żołnierze, skradając się ostrożnie, doszli do buków, do połowy polany. Kiryłow przełożył szablę do lewej ręki i wyjął rewolwer. Straszliwa gorycz zalała serce pułkownika. Porwał się całym wysiłkiem i wszystko znikło, jak gdyby długi cień, padający od buków, pochłonął ich i zagasił.

Pułkownik przestraszył się tej wizji. Przysiągłby, że to nie był sen. Długo wpatrywał się w polanę i ze śladami pewnej podejrzliwości badał cienie pod bukami.

— Panie Chądzyński — spytał — co to są halucynacje?

Pan Chądzyński czytał coś ze swojego wielkiego notesu. Czytał właśnie swoje wiersze, napisane podczas długiego obozowania przed dwoma miesiącami. Za wielkiego poetę się nie miał, ale wiedział, że w każdym jego utworze jest jakaś iskierka. Utwory swoje lubił i teraz przeglądał je, jak gdyby się z niemi żegnając. Albowiem przypuszczał, że te rzeczy już zaginą — a swojej rychłej śmierci w tych lasach był pewien i o tej godzinie tak samo, jak rano i w ciągu całego tego dnia.

— Halucynacje, panie pułkowniku, są objawem nienormalnie funkcjonującego mózgu. Ot naprzykład z przemęczenia.

— A jak się pokaże właśnie coś takiego, jakby to ktoś naumyślnie przed człowiekiem ułożył? Taka jakaś najtajemniejsza myśl, czy chęć... Jakby to sam djabeł wymyślił?... Taka zjawa musi coś znaczyć — chyba przeczucie... jakieś jasnowidzenie? Co?

— A co pułkownik zobaczył?

— Et, głupstwo... Zmordowany jestem i tyle.

— Pułkownik nie jadł dzisiaj nic?

— Nie mam apetytu.

— Nie zostawiliśmy pułkownikowi ani jednego kartofla. Hańba!

— Gorsza hańba, żeśmy zbłądzili. Prawdę powiedziawszy, to nie wiem, w którą stronę iść. To jest dopiero hańba! A wieczór za pasem. Z głodu mi osłabną na nic — i znowu paru trzeba będzie zostawić. I jak na urągowisko mamy huk nabojów, a niema do kogo strzelać. Też położenie...

Omieciński, uczeń aptekarski, wrzasnął przez sen nieludzkim głosem, zerwał się na równe nogi i wystrzelił. Na to Sularczyk, czeladnik szewski, ocknął się, porwał za sztucer, wymierzył ku polanie i wypalił też. Za nim strzelił Frączek i jeszcze hrabski lokajczyk Antek Wasiak. Zrywał się jeden za drugim.

Ale paru spało dalej martwym snem, nie ruszywszy się nawet po strzałach. Echo przesuwało się po lesie i zamilkło.

Obłoczek dymu prochowego zawisł nisko nad polaną i stał w spokojnym, jasnym powietrzu, rozścielając się wązkim pasmem.

Pułkownik już się nawet nie gniewał za ten alarm. Nic nie rzekł Omiecińskiemu, który się przysięgał, że zupełnie „nie spał" i że widział najwyraźniej żołnierzy, wychodzących z lasu po tamtej stronie. Należało jednak brać nogi za pas, bo na wystrzały lada chwila mógł się zjawić nieprzyjacielski patrol, albo i większa siła.

Długo budzono, namawiano i straszono tych, którzy jeszcze pomimo całego gwałtu spali, jak zarżnięci. Rafalski już zupełnie nic nie rozumiał. Oganiał się, jak mógł, od szarpiących go kolegów, wierzgał nogami na wszystkie strony, wymyślał okropnemi wyrazami i kulił się do ziemi. Postawili go na nogach, natrzęśli go i wreszcie oprzytomniał. Najtrudniej szło z Lenkiewiczem. Zgadzał się na wszystko, wstawał, brał broń i ruszał z miejsca, ale zrobiwszy kilka kroków, zbaczał w zarośla, układał się cichaczem do spania i zasypiał natychmiast. Byłby już zginął, gdyby go nie pilnował młody Szymborski, który nie opuszczał go ani na krok i kopaniem zmuszał do wstawania. Lenkiewicz bowiem był to jego kolega i przyjaciel, a ponadto Lenkiewicz strzelał „gienjalnie", nigdy nie chybiał i, zasiadłszy gdzie za drzewem, a mając nabojów pod dostatkiem, starczył sam za dziesięciu strzelców.

Szymborski zaś był najpewniejszy, że jeszcze będzie bitwa, bo inaczej rozpłakałby się z rozpaczy i z tej hańby. Mozolił się tedy z przyjacielem i z tej irytacji bił go już naprawdę z całej siły.

Opóźniało to pochód, ale pułkownik już się o nic nie gniewał.

Jędrek od czasu do czasu niespokojnie patrzał na wachmistrza i gadał: „dobrze idziemy!“ albo „teraz już wiem!“

— I cóż ty wiesz? — pytał Smyczyński.

— Tym lasem het będziem szli przed siebie pół godziny, może ze trzy kwadrance i będzie znów zachodzić ta sama rzeka Czarna (bo ona się tu ciągiem lasem przekręca). Za rzeką jest już zaraz granica.

Ale wachmistrz mu już nic nie wierzył. Czuł, że zbłądzili i że błądzą dalej. Darli się przez las według słońca — ale linja granicy jest kręta. Mogą iść wciąż wzdłuż kordonu aż do samej nocy i po nocy wlezą właśnie w najgorsze miejsce...

Pułkownik pytał Omiecińskiego głosem przyciszonym.

— Naprawdę widziałeś Moskali?

— Żebym się tak z tego miejsca nie ruszył, żeby we mnie piorun strzelił, panie pułkowniku...

— Dobrze, dobrze... Piechota była?

Omieciński opowiadał z wielkim przejęciem, głosem tajemniczym i jeszcze raz przysiągł, że to nie był sen, bo on ani oka nie zmrużył — a co to było? Niewiadomo. Jakaś straszna tajemnica, może fata morgana, albo jakie czary?

— Piechota była, panie pułkowniku. Szli we dwa rzędy, szeroko rozrzuceni w tyraljerkę.

— A jakie mieli kołnierze? Lampasy u kaszkietów jakie były? Widziałeś? Pamiętasz?

— Pamiętam. Na kaszkietach mieli czerwone, a na kołnierzach...

— Głupiś! Jeżeli na kaszkietach mieli czerwone, to i na kołnierzach. I nie całkiem czerwone, tylko ciemno-karmazynowe.

— Skąd pan pułkownik to wie? — Omieciński aż się przeraził.

— A oficer był z niemi? Oczywiście, że był, bo samopas sołdatów nie puszczają — idzie tylko o to, czyś ty go widział?

— Był i oficer. Młody wielki Moskal...

— Czy on nie był czasem czarny? Wąsy czarne? — pytał z niepokojem pułkownik.

— Jak Boga kocham, był czarny!

Pułkownik był głęboko przejęty tym, czego się dowiedział. Już teraz miał zupełną pewność spotkania się z przyjacielem. Bóg go ostrzegał, jak gdyby mu chciał powiedzieć: przygotuj się zawczasu!

I pułkownik był gotowy. Tylko przywarł mu do twarzy tensam dziwny uśmiech. Szedł głęboko zamyślony, a w jego uśmiechu mieniały się ustawicznie skurcze: szyderstwa, rozkoszy, zgrozy i strachu. Pułkownik niezmiernie kochał przyjaciela.

. . . .

. . . .

Nareszcie coś się zaczęło wyjaśniać. Uczyniło się w lesie o wiele widniej, a po chwili poprzez drzewa ukazał się szeroki świat. Smyczyński poszedł z Jędrkiem patrzyć, a reszta została w lesie. Nikt nawet nie siadał. Czekano z biciem serca na wiadomości, bo nadchodził wieczór.

Wachmistrz stanął na brzegu ogromnej, starej, zapuszczonej i już nieco porastającej poręby. Przez szkła zobaczył daleko, daleko dwa wiatraki, obracające leniwo skrzydłami na tle nieba.

Prowadząc lornetę po horyzoncie, znalazł jeszcze rząd topoli i białą murowaną dzwonnicę...

— Chłopak — co widzisz?

Ale Jędrek i bez szkieł dawno poznał okolicę i otrząsł się ze strachu przed wachmistrzem. Poznał swoją wieś.

— Co to za wieś?

— Oj, nie wiem, proszę łaski pana wachmistrza. To chyba jest jakaś wieś już po tamtej stronie!

— A w Namłotowie wiatrak jest?

— Wiatrak?

— Młyn jaki jest? Dokąd do mlewa wozicie?

— A jest we wsi wiatrak.

— Jeden?

— Dwa są wiatraki: jeden pański, drugi księży, ale, proszę pana wachmistrza, wiatraki są też wszędzie...

Smyczyński wyraźnie usłyszał turkot wozu. Wóz szedł po twardej, ubitej drodze. Zaczęło hurkotać— jakby jechało dużo wozów, jeden za drugim.

— Co to może być za gościniec?

Wiedział Jędrek, co to za gościniec, wiedział, że w tym miejscu, od tej poręby idzie polna droga, która przecina gościniec i prowadzi znowu lasami aż do dawnej komory w Wilczy. Na skrzyżowaniu dróg stoi karczma, gdzie szynkuje główny szwarcownik na okolicę Gierszon. Możnaby tu zaczekać do wieczora, a Gierszon za pieniądze, albo i całkiem za darmo ze strachu dałby człowieka, któryby wszystkich przeprowadził. Wszystko to Jędrek doskonale wiedział, ale bał się przyznać, że zbłądził, że kłamał, więc milczał tylko i wzdychał. Chciało mu się ludzi z tej biedy wybawić, ale przemógł strach, bo się nasłuchał, że powstańcy za byle co wieszają.

— Pocoś łgał? Chciałeś nas zgubić? A skąd my mamy wiedzieć, że i teraz nie łżesz? — Tak mu powiedzą i powieszą.

Postał Smyczyński, postał i wrócił do lasu. Kiedy doszedł, wszyscy patrzyli pilnie w głąb lasu i nasłuchiwali bacznie. Z poza nich z głębin lasu dochodził słaby, niemilknący szmer. Na tle tego szmeru to coś stuknęło głucho, jak kolitem po pniu

bukowym, to znowu doleciał jakby głos ludzki, to wydało się, że ktoś rozmawia, to jakby koń parsknął... Odgłosy te zdawały się dochodzić odrazu ze wszystkich stron.

Pułkownik był blady, jak trup. Panu Chądzyńskiemu zupełnie mimowoli układał się w głowie pewien dziwny wiersz, coś w rodzaju hegzametru. Miał wrażenie, że słowa te wypływały same z głębin lasu. Lenkiewicz pilnie opatrywał broń. Szymborski miał płomienie w oczach...

Wpadła prawie na nich i o jakie dziesięć kroków przystanęła wilczyca z trojgiem małych. Stanęła cicho, jak widmo, błysnęła kłami i znikła bez szmeru. Co chwila bokami szmyrgały zające.

— Co? Obława? — szepnął pułkownik do wachmistrza.

Smyczyński ponuro kiwnął głową. Cicho, porozumiewając się tylko giestami, pułkownik wyprowadził ludzi na porębę. Jak okiem zajrzał, sterczały tu pnie. Bliżej lasu młode buczki puszczały się już bujnie, trzeba było brnąć przez ich gęstwę po kolana. Sypał się z pod nóg deszczem jasnożółty liść. Dalej stały pojedyńcze kilkonastoletnie drzewa, nasienniki, a jeszcze dalej czerniały na porębie, jak złomy kamienia, luźne porozrzucane sągi i olbrzymie i już czarne stare kłody bukowe. Ku tym sągom i kłodom zmierzali, biegnąc. Ale zaledwo dopadli i pochowali się, jak który mógł, wystawiwszy broń ku lasowi, od prawej strony o jakie tysiąc kroków z pomiędzy pieńków i z poza takich samych półsążków wyrosło nagle wśród ciszy wielkie mnóstwo ludzi. Uderzyły bębny i ciżba żołnierska rozlała się w obie strony w długi łańcuch. Szybko ogarnął łańcuch szeroką połać polany.

Trąby z pośpiechem wygrały sygnał i odrazu z kilkudziesięciu miejsc buchnęły dymy i grzechot wystrzałów uderzył w cichy las. Czerwone zachodzące

słońce oblało świat purpurą i złotem. Mienił się w słońcu cały ogromny, jak krwawe morze, las bukowy. Czerwono-złote stało się wszystko: i pnie i kłody i przebiegający między niemi żołnierze. Obłoki szarego, gęstego dymu szły pochyło ku górze i tam na wysokości uścielały się, różowiejąc...

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Już od godziny kule stukały głucho w kłodę bukową, za którą leżał pułkownik wraz z trzema towarzyszami. Gwizdały im i śpiewały śmiertelnie koło uszu, szły górą, grając, a najczęściej wlepiały się w kłodę, która odpowiadała posłusznie za każdym razem, jak gdyby liczyła wystrzały. Przelatujących kul niktby nie zliczył. Waliły do nich całe dwie roty, gdyż na polanie bitwa oddawna była skończona. Wybici byli wszyscy co do nogi, ranni byli już od dawna powybijani i obrabowani ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość dla sołdatów.

Już dwa razy kapitan dowodzący wstrzymywał ogień i krzyczał: „poddaj się!" Bo, pominąwszy wszelki nonsens takiej walki we czterech przeciwko dwom rotom piechoty, a wreszcie i sotni kozaków, którzy stali opodal pod lasem, przyglądając się bezczynnie — kapitan zauważył, że w tym głupim spotkaniu padła już nieprawdopodobna ilość żołnierzy i ranieni byli trzej oficerowie. Dopiero kiedy mu żołnierz podał sztucer, leżący obok jednego z zabitych, kapitan zrozumiał.

Broń była najnowszego systemu, celna, dalekonośna, odtylcowa.

Odsunął tedy linję strzelców i prał zdaleka w tych kilku pozostałych. Żołnierze celowali długo,

jak na mustrze. Najlepsi strzelcy starali się i popisywali się jeden przez drugiego, ale potężna kłoda broniła zatraconych Polaków. Wybiegło wreszcie kilkunastu na ochotnika, wrzeszcząc „ura“, ale kiedy po drodze wywróciło się aż czterech, reszta przypadła do ziemi i, usadowiwszy się za pniami, zaczęli zbliżka ostrzeliwać kłodę. Tu dopiero trafiony został Rykwiła, który przez cały czas, jak maszyna, nabijał broń i podawał Lenkiewiczowi a ten ani razu nie chybiał. Teraz dopiero kula oberwała pułkownikowi część ucha. Dostał i Szymborski w sam środek czoła.

Już rzadziej strzelał Lenkiewicz, ale też nie chybiał i był cały, bo kryły go dwa potężne konary, ucięte na pół łokcia ponad pniem. Tamtędy, jakby przez małe okienko, puszczał w żołnierzy swoje niechybne kule.

Znowu zaprzestano strzelać. Kapitan wyszedł przed linję strzelców, machał białą chustką i znowu coś krzyczał po rosyjsku, czego Lenkiewicz nie rozumiał.

Pułkownik, poznawszy oficera, kazał chłopcu nie strzelać i wylazł na kłodę, złożył ręce koło ust i krzyczał:

— Kapitan Ma—twie—jew! Iwan Arkadjewicz! Pa—słu—szaj!...

Kapitan wnet przyłożył do oczu lornetę i patrzał.

Naraz, o jakie sto dwadzieścia kroków przed niemi ozwał się gruby głos:

— Wasze błagorodje! Zdajties', Boga radi! Dowolno dokazali! Pożaliejtie liudiej i siebia! Zdawajties', wsia czetwiortaja rota za was prosit' budiet... Car was pomiłujet za chrabrost'! Zdajties', wasze błagorodje...

Pułkownik spojrzał i poznał podoficera niegdyś swojej roty, którego swojego czasu wybawił od sądu wojennego.

Żołnierz stał z ręką na daszku, salutując oficerowi.

— Deniszczuk! Zdorowo, brat!

— Żdajties', wasze błagorodje.

— Deniszczuk! Porucznik Kiryłow tut? Słyszysz? Porucznik Kiryłow?

— Nikak niet, oni z tretim bataljonem w dierewnie!

— Deniszczuk, skażi poruczniku Kiryłowu wot czto. Skażi ty jemu...

Ale Lenkiewicz, który strzelał bez przerwy już od godziny, który już nie widział naokoło siebie świata i nie rozumiał już nic — jeno tę niepohamowaną żądzę strzelania, nie mógł wytrzymać dłużej, jak kilka chwil. Podczas zawieszenia broni celował on do kapitana, żeby, jak tylko się zacznie strzelanina, powalić jego pierwszego. Na tego kapitana miał on oddawna chęć, ale stary oficer trzymał się zawsze zadaleko. Teraz zbliżył się nieco i stanął wyraźnie na tle czerwonej ściany lasu.

— Teraz pewny — szepnął chłopak i zupełnie mimowoli nacisnął cyngiel. Kapitan upadł.

W odpowiedzi na to gruchnęły strzały z tamtej strony i pułkownik zwalił się z kłody, nie zdążywszy nic przekazać dla przyjaciela. Lenkiewicz został sam jeden. Nabił znowu, wymierzył i zwalił tego, który przed chwilą rozmawiał z pułkownikiem, nabił jeszcze raz — ale już dopadli żołnierze, i kilka bagnetów jednocześnie przygwoździło go do ziemi.

Na polanie trąbki sygnałowe grały „zbor".

. . . .

Zapadała noc. Długo kramarzyli się żołnierze z latarniami, zbierając swoich rannych i zabitych. Długo w noc turkotały po gościńcu wozy chłopskie, odwożąc rannych żołnierzy do lazaretu — a zabitych na uczciwy pochówek.

Koło północy martwa cisza usłała się nad polaną. Noc była chłodna, zbierało się na przymrozek. Wyiskrzyły się na niebie gwiazdy i migotały bladym, zaświatowym odblaskiem. Cicho leżały trupy, gdzie który padł.

Pan Chądzyński, powalony nawznak z kulą w płucach i przebity kilkakrotnie bagnetem, otworzył jeszcze raz oczy i ujrzał gdzieś jak gdyby w otchłannym dole, w niezmiernie głębokiej przepaści, świetny, mistyczny znak Wielkiej Niedźwiedzicy. Wiedział, że wisi nad nieogarnionym ciemnym zwierciadłem spokojnych wód — w których odbijają się gwiazdy, i czuł, że już nie jest sobą. Długo błądziła w bezgranicznej przestrzeni jego nieśmiertelna dusza, wyparta z ciała przez śmierć. Pozostał gdzieś daleko obcy, okrwawiony. Pozostały tam przy nim i dawny ludzki ból i dawna ludzka myśl i dawne ludzkie czucie. Szybko zanikała resztka pamięci o tym wszystkim. Już się zaczęło olbrzymie niepojęte „coś innego" i oto się odbywa. Długo jeszcze ważyła się dusza jak na skrzydłach ponad gwiazdami. Opadała i wznosiła się. Zbliżała się i jak siedem słońc pałało siedem gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy. Oddalała się — i gasło wszystko, wszystko. Aż o jakiejś godzinie nocy...

Pomiędzy pniakami i sągami drzewa zaczęły się przemykać czarne, jak sama noc, cienie. Zapadały się na chwilę i gasły fosforyzujące iskierki. Długo, ostrożnie, bez szmeru podchodziły, zbliżały, podkradały się i cofały ponure widma.

Jeszcze je trwożył ostry zapach prochu i świeże ślady żywych ludzi, którzy tędy przechodzili. Jeszcze nie dowierzał mądry, zawsze ostrożny i zawsze walczący zwierz. Ale zwyciężył głód. Podkradały się wilki coraz bliżej. Coraz wyraźniej świeciły po nocy bystre ślepia, wypatrując. Odważył się wreszcie najodważniejszy, odważył się najgłodniejszy

i, węsząc, pytając, gotowy każdej chwili uskoczyć— dotknął ostrym, wilgotnym pyskiem bielejącej w ciemnościach twarzy trupa i zionął mu w zastygłe oczy gorącym swoim żywym oddechem.

. . . .

. . . .

O szarym świcie przyszli pierwsi ludzie, a obżarte wilki uskoczyły w las. Pozdejmowały chłopy czapki nad tym nieszczęściem ludzkim i szeptały pacierz za zmarłe dusze katolickie. Było ich najpierw trzech. Mieli ze sobą łopaty, każdy miał też i worek pod pachą.

A nie było co brać, żeby tak zanadto. Odrazu to było wiadomo. Zrobiło się chłopom jeszcze smutniej. Obchodzili jednak pilnie to miejsce i coraz to się bardziej dziwili.

— Ścierwy, gałgany, obdarły, obrały każdziutkiego, aż strach patrzyć...

— Buty znowu na nich nicwarte, palce wyłażą. Chybaby te cholewy...

— Et! nie zbogacą nas te cholewy! Pieniądze, te pierścionki, ten zegarek, to co innego. Poco ma się w ziemi marnować?

— Przyodziewek złachany, upaprane wszyćko w tej krwie. Oj, Boże miłosierny...

— Niechże spoczywają w spokoju.

— A światłość wiekuista niech świeci.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen.

— Ot, ma ślachta za swój bunt, za swoją pańską śmiałość.

— Co to znaczy! Wiela ich tu jest? Ze dwadzieścia, nie więcej, a nad Czarną było wczoraj sto i coś. Sto trupa. Tyż żaden nie uszedł cały, bo który tylko skoczył w las, to go tam kozaki zadźgały.

— Pokaleczonych zabrali nie więcej, jak na pięć furmanek.

— Dobijały sołdaty sztykami, który się ruszał.
— Co pobrały — to sama ślachta, starszyzna.

— Bedom ich kurować w lazarecie, potym pójdzie sąd, a potym ich powieszą dla większego postrachu.

Westchnęły chłopy ciężko, zobaczywszy pohańbione, poogryzane trupy ludzkie. Użaliły się, zobaczywszy rozciągniętego i gęsto pokłutego bagnetami bosego chłopaka — wyrostka. Był to Jędrek i niechybnie poznałby go który z chłopów, gdyby nie to, że go bez noc wilki na szczęt popsuły.

— Trza ich więc tedy pogrześć po ludzku, nieszczęśników. Co mają leżeć? Tyż są ludzie...

— Poczekajmy, przyjdą insi, co się będziemy sami mordować?

— Kiedy strach tak nad niemi stojać po próżnicy. Bierzwa się!

Wyznaczyli miejsce pośrodku pobojowiska, żeby nie było daleko nosić, splunęli w dłonie i zabrali się do łopat.

— Tamtych nad rzeką ksiądz ma dziś jechać pokropić. Jenerał pozwolił — że to niby tak dużo naraz padło. Tylko krzyża ani żadnego znaku zakazano stawiać.

— Sołdatów wszystkich na cmentarz złożyli, na pierwszym miejscu. Będą popy i parada z muzyką, a potym, powiadali, wystawią im okrutny pomnik murowany.

— To tyż nie jak trzeba — przecie ony nie katoliki?

— Poco my ich mamy u siebie mieć? Tylko będzie po nocach straszyło. Zabójce!

— Sołdatowi każą, to idzie.

— Jemu nie każą przetrąconego dobijać, ani palców nieboszczykowi obrzynać dla tego pierścienia.

— Jak nie zabronione, to pozwolone.

— Zbóje są, złodzieje. Trzy dni we wsi stoją, a pokradli, co ino leżało na wierzchu. Do dziwek się zabierają. Chodził sołtys do samego jenerała, powiada — jaśnie panie, my cesarzowi wierni byli przez cały czas, choć nas ciągle podmawiały. Zaco mamy cierpieć?

Jenerał go pochwalił i rękę mu podał, ale jak kradli, tak kradną.

— Kiedy ich stąd djabli wezmą? Zrobiły swoje — niech se idą. Pogaństwo! Księże żyto i wszystko Wawrzonkowe i Gruchalakowe i jeszcze Druciarzowe stratowały na klepisko. Szły polem, gdzie popadło, jak te świnie. A nam kto wynagrodzi?

— Cichajcie — bo i całe wsie paliły i całe miasta paliły i nikt ani pisnął.

— My byli wierne i za porządkiem.

— Na wojnie nikt nie pyta.

— Jak ony nie pytają, to i my możem nie pytać! Mało to chłopów?

— A zacznijcie ino — chce wam się tak leżeć, jak te pobite?

— Jakby się chłopy ruszyły — to nikt nie poradzi.

— To pocoście się nie ruszyli?

— A bom nie wiedział, czyja prawda. Ale po prawdzie, to żal zmarnowanego narodu. Ile tysięcy...

— Żal jest — ale same sobie winne.

— Pańskie zachcenie, pańska wojna. — A nam co?

— Ej, Boże miłosierny, co też się wyrabia po świecie...

— Ziemię wydzielać będą aż na wiosnę. A jak przez zimę przyjdzie Napoljon, to co?

Nadchodziły chłopy z Namłotowa tyż z łopatami, z siekierami i tyż z temi workami pod pachą. Pokiwali głowami nad ludźmi, tak strasznie pobitemi i złupionemi. Ledwo który znalazł na nieboszczyku

czyli delikatnie odpasał ten rzemień, zdjął mu, wzdychając, tę dziurawą katanę, podjął tę czapczynę, do grobu nikomu niepotrzebną, ale przeważnie nie łakomił się nikt na marną zdobycz, tylko z tego chrześcijańskiego obowiązku kopali chłopi pracowicie, pogadując o tej niesłychanej wojnie, o Polakach, o doli chłopskiej, o woli cesarskiej, o tej ziemi, wydzielać się mającej, o tym panu ze dwora, co go dziś zabrały do kryminału, o tym wójcie, co ma dostać od cysarza mental i sto rubli za wierność i zasługi.

. . . .
. . . .
. . . .

O południu skończyły chłopy robotę, uprzątli dobrzy ludzie, przykryła gościnna ziemia to nieszczęście człowiecze. W ciasnym dole zmieścili się wszyscy, poszarpani przez okrutną śmierć. Urwały się ich cierpienia i ich cele i ich czyny. Poszły w zaświaty te dusze nieznajomą swoją drogą. Derda, zdatny do ciesielki, wyrychtował sporą figurę z młodego, gładkiego buczka i wypalił nawet na poprzecznym ramieniu tajemnicze znaki I. N. R. I., które stoją zawsze nad ukrzyżowanym Panem Jezusem.

Dźwignęły chłopy krzyż i postawiły we swoje miejsce. Nadźwigali jeszcze głazów, odziomków i szczap, nawalili na wierzch, żeby broniły od wilków. Starszy od bractwa, Jewczyk, znający modlitwy kościelne, odmówił nad grobem, co należało. Ponakładali czapki, powzdychali, zabrali się i poszli.

. . . .
. . . .

Przyszły zimne szarugi jesienne. Przez długie, czarne noce mocowały się wichry z krzyżem, aż się

pochylił nad mogiłką, jakby ją chciał jeszcze sobą przykryć i ochronić. Wył wicher w nagich gałęziach, chodził nad lasem głęboki szum, jakby od dalekiego morza. Lały się strugami zimne deszcze i wsiąkały w rozkopaną ziemię. Nikt tu nie bywał. Czasami podeszły głodne wilki, węsząc i próbując się dokopać. Czasami wrona siadła na krzyżu, kracząc. Osiadła szybko usypana ziemia, aż ją podparły pierwsze mrozy.

Zawaliły polanę faliste zaspy śniegowe, zasypały i pniaki i drobne krze i mogiłkę. Jeno krzyż wysterczał nad białą płaszczyzną, stercząc na pustkowiu, i w ciche mroźne noce księżycowe rzucał za siebie czarny cień. Przebiegał czasami przez małoznaczny wzgórek śniegowy leśny zwierz, znacząc za sobą nikły łańcuszek śladu. Pustka, spokój i samotność pilnowały grobu i tej jego czci.

Przyszła pora cieplejsza, jako przychodzi co roku o swoim czasie. Poszarzały śniegi, pokruszały, wyszły na wierzch odziomki drzew, wydobywały się z pod długiego uścisku połamane krzaki i młode pędy bukowe. Bełgotały na spadkach wiosenne strumyczki, wypijała ziemia resztę wilgoci. Wyjrzały najpierwsze kwiateczki, puściła się chybko trawa.

Odżyła i przeszła w cudną młodzieńczą zieloność czarna ściana lasu. Gęstniały, rosły, chciwie żerując, młode buczki, walczyły z dzikim zielskiem i ze sobą nawzajem, przepychając się w ścisku o to życie. Zaczęły się radosne gody wszelkiego stworzenia.

Śpiewało ptactwo ponad porębą, buczały owady! Pracowały przychodzące z oddala pszczoły.

Przychodziły chyłkiem od gajowego gromadki dzieci po bujnie pleniące się na porębie jagody. Zdaleka okrążały złowrogi krzyż, trzymając się ze strachu za ręce. Za nic w świecie nie podeszłoby żadne bliżej jak o staję do strasznego miejsca, gdzie

w szczerej pustce w niepoświęcanej ziemi leżą pomordowane „Polaki".

Trawa i wszelakie zielsko szybko ogarnęły już wyrównany kopczyk. Przyszła jesień i barwić się zaczęły buki, przykracał się dzień, leciał z drzew liść i ziarenka nasion siały się po świecie. Czepiało się wszystkiego babie lato, więdły łodygi ziół i traw, marniały kwiaty...

I tak co roku.

Szło wszystko o swojej porze. Zamierało życie na polanie co jesieni, odradzało się na wiosnę. Podrastały buczki. Szybko szły w górę te, których nasiona rzucił los na zapomnianą mogiłkę. Stała ich pośrodku polany znaczna kępa, górująca ponad resztą. Walczyły o miejsce, o życie młodsze drzewa. Dusiły się nawzajem, odbierały sobie chleb i powietrze i światło słoneczne. Długo jeszcze sterczał w górze ponad młododrzewiem krzyż pochylony — aż zrównały się z nim potężniejące drzewa żywe, pod ziemią walczące korzenie wyparły go, jako martwą rzecz. Któregoś roku obalił się krzyż, spróchniał do szczętu w cieniu i wilgoci i wdeptało go w ziemię nieustające życie. Szły w głąb korzenie, szukając swojego żeru. Pożerały, co natrafiły pod ziemią, aż któregoś roku doszły do pogrzebanej od lat tajemnicy.

Zarastał mogiłkę młody, gęsty las, opuściło mogiłkę wszystko, co tam gdzieś żyło na dalekim świecie, daleko, daleko za lasem. Przechodziły jeno ponad nią we mgłach jesiennych, nisko wiszących nad ziemią, bolesne, ciche, zdaleka płynące westchnienia sióstr, matek, kochanek, szukających bolesną tęsknotą tych niewiadomych grobów. Jeszcze przez długie lata — po polach i lasach błądziły żałosne tęsknice, nie mogąc nikędy trafić ani odszukać wśród nawału bratnich i cudzych mogił ukochanego swojego miejsca. Lata płynęły. Zapomniały siostry, pocieszyły się kochanki, wymarły matki.

Któregoś roku przeszli przez gąszcz gajowy z panem nadleśniczym, nacechowali najdorodniejsze buki. Przyszli potym ludzie z siekierami podcinać w gąszczu marniejsze drzewiny, przyszli pomagać tym, które były mocniejsze.

Któregoś roku usłyszały rozrosłe drzewa dziwne odgłosy, które nie były ani głosami ptaków, ani owadów, ani żadnego zwierza leśnego. Nie był to ani plusk ulewy, ani wycie wiatru, ani grzmot burzowy, ani też głos człowieka, który przemykał tędy zrzadka.

Zdaleka płynęły przenikliwe, złowrogie, donośne głosy. Płoszyły się ptaki, bacznie, nieufnie nadsłuchiwały, obracając się w tę stronę, wytrawne lisy. Szło przeciągłe, mocne gwizdanie, szedł za nim długo żelazny rumot i głuchy zgiełk. Po kilka razy na dzień przechodziły przez las tajemnicze łoskoty — a las powtarzał je za każdym razem posłusznie.

Wymarło pokolenie, dla którego było jeszcze „porębą“ to miejsce, gdzie szumiał o tej porze tęgi, dorosły bór. Już w ziemię patrzali ci, co się porodzili pod znakiem klęski w onym nieszczęśliwym roku. Dźwigał na sobie każdy tę ciężką pamięć, jako niemiłosierne dziedzictwo. Całą swoją niedolą i niedolą dzieci swoich pamiętał tę krew ojcową. Ale nikt już tych czasów nie wspominał. Dawno zeszli z pola ukarani winowajcy. Cichuteńko żyli, cichuteńko, nieznacznie wymierali ci, którym dało się ujść cało. Nieśmiało wracali do kraju wygnańcy i z radością umierali na rodzonej ziemi.

Już im przebaczyli tę starą winę potomni. Ich zamiary, czyny, męczarnie zagrzebał szary, powszedni dzień, pełen nowych trosk, nowych prac, nowych wielkich celów.

Nowa kolej pozyskała dla bogactwa narodowego daleką dziedzinę, szczerą pustkę, gdzie nadzwyczajne bogactwa leśne dopiero z utworzeniem

nowoczesnej komunikacji stały się czymś realnym. A dalej — wszelkie oznaki węgla, a dalej — zupełnie sprawdzone pokłady rudy żelaznej, a dalej — glinka cementowa, glinka ogniotrwała.

Upadł pod siekierą las bukowy i pojechał w świat koleją. Kiedy się usunęła jego ściana — pokazały się kominy fabryczne, wiecznie dymiące, pokazało się wielkie przemysłowe miasto, które tymczasem wyrosło, a w którym nic już nie zostało z dawnej wioski, prócz ozdobnego i starannie utrzymywanego pomnika dla poległych za ojczyznę żołnierzy i oprócz dawnej nazwy. Do Namłotowa ściągali ludzie zewsząd po tę ciężką pracę i po ten ościsty chleb. Budowali szosy i koleje, murowali domy, zapełniali tłumami fabryki, kopalnie. Pobiegły w różne strony od miasta boczne odnogi żelazne. A kędy przeszła taka droga, wyrastał aż pod niebo komin, a gdzie raz stanął komin — śmierć i zniszczenie padało na wszystko, co chciało żyć wedle woli boskiej.

Puściły się były wnet buczki na nowej porębie. Rozrastały się bujnie, uparcie, niebacznie. Aż któregoś dnia letniego zaczęła się zapadać pod niemi ziemia, rwały się delikatne korzonki i młodociane drzewinki spadły w głęboką czeluść. Posuwała się linja robót, obsypywała się codzień ziemia i codzień ginęły drzewinki.

Któregoś popołudnia pracowali ludzie na spiekocie, zlani potem, złamani trudem i jak zbawienia wyczekując wieczora, Leniwie obracały się łopaty, ładując glinkę na wagonetki. Leniwie pokrzykiwał na nich dozorca, stojący pod parasolem. Nagle posypały się z góry wraz z darniną i ziemią jakieś kości. Potoczyła się żółta czaszka człowieka, szczerząc zęby. Potoczyła się za nią druga — trzecia — piszczele, żebra — kręgosłupy.

Ustała robota. Sam dozorca podszedł patrzeć. Obstąpili ludzie wokoło te stare resztki.

— Dziura w czole wybita. To od kuli.

— Pod okiem kość przebita...

— To po jakiejś bitwie...

— Ale po jakiej...

— Mało się ludzie to mordowały od początku świata...

Patrzeli w górę robotnicy, gdzie na sam brzeg wyszedł jeden, żeby odgrzebać i zepchnąć na dół, co tam jeszcze zostało w starym grobie.

Spadały kości raz po razu, zsuwały się czaszki po pochyłości i zataczały się daleko. Zgromadzono to do kupy, naliczono dwadzieścia głów.

Gapił się na to i stary dziadyga — który prowadzał konia przy wagonikach.

Stanął, patrzył razem z innemi, a kiedy się już napatrzył, zawołał:

— Wiem, wiem. To z powstania. Tu na porębie były też zakopane. Prawdę powiadam! Tego dnia — było na jesieni, rodzony syn mnie przepadł, jak kamień we wodę. Jak tu jeszcze wkoło nic nie było, nic a nic, jeno te lasy, lasy...

I wypełzłe oczy starego nędzarza rozglądały się w pociesznym zdumieniu po tej rodzinnej okolicy, po tych dymiących kominach i po tych obcych ludziach.

Dozorca gnał do roboty, ale ludzie odsłonili głowy i stali w milczeniu.

Pan i parobek.

Pan Złotowski chodził wzburzony i czerwony jak rak od drzwi do ściany po wązkiej przestrzeni między tapczanami. Nikomu nic nie odpowiadał, na nikogo nie patrzał, tylko zapamiętale dzwonił kajdanami. Chwilami łzy stawały mu w oczach. Chwilami zdawało się, że porwie się z pięściami na którego z gadających. Jakaś wielka awantura wisiała w powietrzu.

Z dwunastu stałych mieszkańców celi Nr. 7 spokój zachowywał jeden ksiądz Bojdoł, który, chory oddawna i prawie umierający na suchoty, leżał w swoim kącie i od czasu do czasu z trudem podnosił głowę i cierpiące oczy, nie mogąc zrozumieć, co się koło niego dzieje. Pozostali rozpowiadali głośno, kłócili się lub zaczepiali Złotowskiego, rozpytując go o szczegóły, dając mu różne dobre rady lub czyniąc mu uzasadnione zresztą wyrzuty, że samowolnym postępkiem swoim wciąga ich wszystkich w ambaras, naraża na kary i prześladowanie.

Szczególniej rozżarty był stary Misztal, majster piekarski, który niedawno odsiedział za coś dwa tygodnie ciemnego karceresu.

— Psiakrew! Było z miesiąc spokoju, człowiek tyle, że przyszedł do siebie, a tu masz znowu chryję. Jaśnie dziedzicowi się spodobało. Znaj naszych! Zastaw się, a postaw się! Ot szlacheckie koleżeństwo!

— Panie Walery, kładź się pan zaraz i stękaj. Udawaj ciężką chorobę, doktór nie będzie przeszkadzał.

Nic ci nie zrobią, a potym się sprawę załatwi. Da się znać Muchinowi, przyjdzie, da w łapę żonie pomocnika i koniec.

— Oho... Za taką obrazę samego naczelnika?... Co pan sobie myślisz? Przecie to więzienie, katorga! Słuchaj pan: paragraf piąty o pozbawionych wszystkich praw stanu i zesłanych na ciężkie roboty bez terminu... Ja, jako prawnik...

— Ja nie prawnik, ale na łapówce cała Rosja stoi. Da się za tym razem więcej, niechby nawet sto rubli. Waleremu, chwała Bogu, pieniędzy nie brak.

— Pieniędzy mu nie brak, tylko tej piątej klepki w głowie. Czyś ty, człowieku, oszalał? Takie sobaczenie i jeszcze komu? Samemu naczelnikowi!

— Nie, tu żadne pieniądze nie pomogą! Bieda się stała i już. Dostaniesz rózgi, panie Walery — rzekł stanowczo starosta celi, pan nadleśny Włoczewski, znawca stosunków więziennych i wyrocznia w zawiłych sprawach z administracją.

— Oj, Matko Boska cudowna! Trzaż się było miarkować, panie dziedzicu! Już trza było na ten raz ścierpieć...

Tego pan Złotowski nie mógł już znieść żadną miarą. Stanął jak wryty i ryknął swoim tubalnym basem:

— A ty, chamie, milcz, kiedy się ciebie nie pytają! Ani pary z gęby, bo ci tu wszystkie zęby wybiję!

Franek Wasiak, dawny parobek ze Złotowoli, przeraził się, osłupiał i otworzył gębę. I zaraz potym zrobiło mu się strasznie smutno. Skulił się i ogarnął na sobie aresztancką siermięgę.

— Ja nic, panie dziedzicu. Przecie ja nic. Ja ino tak sobie, z dobrawoli...

— Ależ, panie Walery, pocóż się tak rozdrażniać. Tu trzeba radzić...

— Kolega Złotowski manifestuje swoje ideje demokratyczne. To wymowniejsze, niż wszelkie jego dowodzenia polemiczne — wycedził z sarkazmem pan aplikant Ścisło, który był mizernym urzędniczyną w kasie powiatowej, ale zato zajmował bardzo poważne stanowisko w administracji Rządu Narodowego, zaco dostał dwadzieścia lat. Tutaj w celi № 7 w zakładach Nerczyńskich był on najzagorzalszą głową we wszelkich dysputach politycznych a z przekonania był zwolennikiem żandarmów wieszających, zamachu stanu i wielbicielem pana Ludwika.

Kiedy pan Złotowski ukazał się z powrotem na progu celi, wszystko zamilkło ze zgrozy. Zrazu nikt się nawet nie ruszył, żeby go podeprzeć i podprowadzić do posłania, choć chwiał się na nogach. Pan Złotowski ciężko oparł się plecami o zamknięte drzwi, aż głucho jękły rygle i zasuwy. Tak stał i patrzał na towarzyszy okropnemi oczami. Było w tym jego spojrzeniu rozpaczliwe jakieś pytanie i obłąkany uśmiech. W twarzy nie miał ani kropli krwi, tylko przebiegały po niej nerwowe częste drgania, drgały usta jak na chwilę przed płaczem a zęby szczękały mu, jak w paroksyźmie febry. Z pod narzuconej na plecy siermięgi miarowo i szybko kapały na brudną podłogę krople krwi.

Ochłonąwszy, porwali się ku niemu towarzysze. Doprowadzili do tapczanu, ułożyli go twarzą do pościeli i mały Kociatkiewicz, pomocnik felczerski zakasał rękawy i zabrał się do opatrunku. Ostrożnie, ciepłą wodą i czystą miękką szmatką obmywał poszarpane plecy. Złotowski leżał bez ruchu, z twarzą, ukrytą w słomianej poduszce, i tylko dychał ciężko. W celi rozmawiano szeptem. Jedni pomagali felczerowi, inni, ponuro zadumani, siedzieli na tapczanach.

Franek przyniósł w wielkim czajniku ciepłej wody i, nalawszy ją do miski, klęczał przy panu i pomagał, jak mógł. Okropna zgroza ściskała chłopa za serce. Stała się według niego jakaś rzecz niepojęta i niepodobna do prawdy. Że pana zabrali, okuli w kajdany i zagnali aż na Sybir, z tym się już Franek jakoś pogodził. Ale to, co się teraz stało, przechodziło wszelką ludzką miarę. Pan Złotowski, dziedzic Złotowoli, Złotej i Złotówki, pan całą gębą i pan z dziada pradziada — sprany rózgami do krwi, pohańbiony i sponiewierany...

Pan Złotowski zaczął grzebać palcami po sienniku, chwytać garścią za pościel, wreszcie jęknął. Po chwili ciężkie jego stękanie, miarowe i głębokie, rozległo się po celi.

— To nic, zaraz przestanę — uspokajał go felczer. — Zaraz będzie koniec. Polecę do apteki po maść. Rozsmaruje się, obwiąże i koniec. Nie będzie nic boleć. Potym aby leżeć i spać. W tydzień przejdzie. Aby jeszcze chwilę...

Ale pan Złotowski stękał coraz okropniej. Wówczas starosta pan Włoczewski, mądry i stary, wiedząc o co idzie skatowanemu towarzyszowi, rzekł z powagą:

— Dajno spokój, Walery, i nie dręcz się napróżno. W tym niema żadnej hańby ani ujmy dla honoru. Wiesz przecie, gdzie jesteś i gdzie my wszyscy. Katorga! Dziś tobie, jutro mnie. Tu niema się czego wstydzić. I kogo się wstydzisz? Nas? Głupstwo! Czas już zapomnieć jak tam kiedyś bywało..

Pan Złotowski odwrócił twarz od ściany i jego oczy, zalane łzami, spotkały się z przerażonym spojrzeniem Franka, który klęczał tuż przy tapczanie i trzymał oburącz wielką miskę z wodą. Dziedzic patrzał na niego długo. Wreszcie wymówił łkającym głosem przenikliwie i prosząco:

— Daruj mi, Franek, daruj mi zniewagę i moją niesprawiedliwość...

Chłop cofnął się w przestrachu i ulał na ziemię z pół miski wody.

* * *

Kompanja w celi Nr. 7 żyła naogół zgodnie, bo po wielu zmianach i kolejach ludzie się nareszcie dobrali. Byli u siebie i między sobą. W innych większych celach, mieszczących po czterdziestu ludzi, siedzieli pomieszani z najrozmaitszą kryminalną zbieraniną, która zawsze przeważała liczbą i przeprowadzała swoje zbójeckie obyczaje i obmierzłe katorżne prawo. Tutaj na dwunastu więźniów było tylko dwuch obcych, którzy zresztą w niczym nie przeszkadzali, bo jeden, „Michaił, bożyj czełowiek", był to wiecznie milczący mistyk sekciaż, żyjący, zda się, pozarealnym światem, a drugi, chory umysłowo i na zawsze już uspokojony góral kaukaski, nie znał żadnego języka prócz ojczystego i odzywał się do niego tylko jeden jedyny pan Ścisło, który jeszcze miał głowę do żartów. Po parę razy na dzień podchodził do Tatarzyna i pytał surowo:

— Kto ty?

— Guchremas Ogły Kuwardys Hatan Caweł Tejmur — odpowiadał posłusznie idjota i na tym kończyła się rozmowa.

Nie bez tego, żeby się towarzysze nie posprzeczali między sobą lub nawet pokłócili — czy to o ideje lub politykę, czy to o zwyczajne sprawy gospodarskie, o czajnik, o „paraszę", o jaką miskę.

Ale starosta pan Włoczewski zawsze umiał pogodzić zwaśnionych i utrzymać w kompanji ład i harmonję. Naogół wszyscy co do jednego byli to ludzie poczciwi i szanujący się nawzajem. Siedzieli razem już od roku i jeżeli się nie pokochali,

to przynajmniej przywykli do siebie. Poznali się już wszyscy nawzajem nawskroś, każdy już opowiedział o sobie po kilka razy wszystko, co tam miał ciekawego, każdy wyrobił sobie już pogląd na całą resztę towarzyszów, określił i ułożył swój stosunek do każdego zosobna.

W celi było jako tako, spokojnie, ponuro, nudno. W pierwszym roku na roboty nie pędzali nikogo. W tym pierwszym roku przywykali ludzie ciężko do swego losu i do kajdan i dzień po dniu odrywali się mozolnie i boleśnie od dawnego życia i od wszystkiego, co tam za niemi w ojczyźnie pozostało. Każdy nosił w sobie własną troskę i niedolę i nad nią wzdychał. Ale powszedni dzień miał też swoje prawo i swój obyczaj. Żyło się jakoś, jakoś ten dzień schodził. Towarzysze jedli, spali, gadali, kłócili się, śpiewali, nudzili się, wzdychali, bawili się, jak mogli, nawet się śmiali.

Ustaliły się formy współżycia, różne poszczególne przywileje, osobliwe niektórych obowiązki i rodzinne przyzwyczajenia.

Wszyscy wiedzieli, że pan Klamborowski, restaurator z Opatowa, to człek porządny, ale łgarz zawodowy i wyspecjalizowany. Obiadami jednak i jedzeniem zarządzał sam pan Złotowski, którego kuchnia słynęła niegdyś w całym powiecie, a roboty kucharskie spełniał Franek. Każdy miał swój własny i osobisty pogląd na przyczyny upadku powstania, ale przegadał wszystkich i przekonał zawsze, a codzień inaczej, pomocnik adwokata pan Puciało.

Najbogatszym w całej kompanji był dziedzic Złotowski, najuczeńszym pan Puciało, najmądrzejszym starosta Włoczewski, najdowcipniejszym pan Ścisło, a najgłupszym Franek.

Wszyscy brali lekko felczera, małego pana Kociatkiewicza i kpili z niego dobrotliwie. Pan Ścisło

brał lekko wszystkich i kpił ze wszystkich wymyślnie i nieraz zjadliwie. Wszyscy opiekowali się chorym księdzem Bojdołem, który stale i napróżno napędzał wszystkich do wzmożonej nabożności. Wszyscy wysługiwali się Frankiem, jak parobkiem, a on pracował za wszystkich, jak gdyby był w służbie i brał za to zapłatę. Specjalnie zaś i przedewszystkiem służył swojemu panu.

* * *

Z początku świeże były wszystkie wspomnienia. Przeżywali jeszcze ludzie po raz drugi i po raz dziesiąty to, co było kiedyś, a tak niedawno. Jeszcze nie ułożyło się to w duszach, jako rzeczy minione i jako przegrana sprawa. Jeszcze odgrażał się jaki taki, jeszcze poniektóry czegoś się tajemnie spodziewał. Rozprawiano z ożywieniem, brano się za łby o różne kwestje sporne, opowiadano z zapałem o swoich czynach i o rzeczach widzianych, i nikomu się nie nudziły długie opowiadania o bitwach, o przygodach bojowych i o tajemnicach roboty spiskowej.

Kiedyś niejeden, przyszedłszy na swoich okutych nogach przez sto etapów aż do zakładów Nerczyńskich, uważał, że spełnił nowy czyn, że się jakoś tym swoim cierpieniem przysłużył ojczyźnie. Niejeden na początku cierpiał mężnie, a kajdany nosił z dumą.

Czas powoli a nieznacznie zdzierał tę szatę godową męczeństwa. Przeżyte zdażenia przenosiły się niejako z duszy do pamięci. Wyłaziła na wierzch ponura prawda sybirska: czy dziś, czy jutro, czy za rok, czy za piętnaście lat — wszystko jedno. Zawsze będzie krata w oknie, a kajdany na nogach. Będzie dozorca z batem, konwój z bronią nabitą i towarzysze nieodłączni każdej myśli i każdego westchnienia — zbóje, zbrodniarze, brodiagi. Na zawsze dalecy

i jakby już obcy pozostaną drodzy sercu, ci, którzy gdzieś tam żyją swoim własnym, obcym życiem w tej gdzieś tam, niewiadomo gdzie, utraconej ojczyźnie. I przychodziła do głowy rozpaczliwa, rozumna myśl — poco nam żyć? Tak pomyślawszy, wieszał się niejeden na rzemieniu od kajdan, inny przyrządzał sobie w tajemnicy wymyślne trucizny, inny szukał zwady z konwojem na robotach i padał od kuli. A reszta? Reszta żyła.

Katorżny, powszedni dzień ścierał z dusz szlachetne piękno. Dolewał po kropli goryczy, aż uczyniło się każdemu ponuro, obmierźle. I mówił sobie człowiek sterany — wszystko mi jedno.

Podupadł i pan Złotowski. Prali go rózgami raz, drugi, trzeci. Bili go kułakiem, nie zważając na honor, po pańskiej gębie, jako bijali chłopa po mordzie karbowi w Złotowoli i w Złotej i w Złotówce. Stał się cichy, nauczył się już pokory. Wstawał na równe nogi, wyciągał się sztywno, stał „ruki po szwam", kiedy do celi wchodził naczelnik, lub naczelnika pomocnik, lub pierwszy lepszy chłystek z kancelarji więzienia. Na robotach zrywał czapkę z głowy i patrzył spokojnie, martwo w twarz przechodzącego urzędnika. Pracował narówni z innemi, na mrozie czy upale, po kolana w wodzie czy wśród duszącego pyłu kamieniołomów alabastru. Pocił się dawniej dziedzic, stojąc konno nad żniwakami, męczyło go pokrzykiwanie i widok cudzego znoju. Teraz harował narówni z resztą, a ręce miał tak samo urobione i czarne, jak i Franek.

Znał się dziedzic na każdej robocie, wiedział, który na folwarku źle robi, i cholerował i podganiał, a harapem rozumu uczył. Tu go zaś dopiero Franek nauczył, jak się do roboty samemu zabierać. W pierwszym czasie nieraz sam za niego cały wymiar odrobił,

a potym mu wykładał chytrą, chłopską nauką, jak oszukać tego dozorcę, który nad niemi z batem stał.

I chwalił sobie Franek te ciężkie roboty:

— Nie tak nas, panie dziedzicu, pilnują, jakby trza. Tutaj lżej, niż we dworze.

Rozpodzieli się po innych katorgach, po szerokim Sybirze i jeszcze gdzieś dalej starzy towarzysze z pierwszych czasów. Umarł nareszcie ksiądz Bojdoł, powiesił się w nocy na okratowaniu wesoły pan Ścisło, zostawiwszy do kompanji krótki list, w którym stały jeno słowa: — Róbcie tosamo! — I Klamborowski restaurator łgał już na tamtym świecie, bo któregoś roku na robocie sołdaci odbili mu coś we wnętrzu kolbami. Chorował i cherlał i łgał coraz niedołężniej, wreszcie umarł, Pana Włoczewskiego przeniesiono na Karę, dwuch, odbywszy swoje lekkie cztery lata, poszło na osiedlenie.

Sprytny Misztal założył własną piekarnię i sprowadził żonę z dziećmi, pan Puciało dostał manji wielkości i pisał gdzieś w jakimś szpitalu po całych dniach i po całych nocach jakiś ogromny traktat o ogromnych jakichś sprawach.

W starym więzieniu został pan Złotowski sam na sam jeno z Frankiem wśród obcego tłumu pospolitych zbrodniarzy. Szydzili kajdaniarze z polskiego pana za to, że był panem, szydzili z pańskiego sługi Franka za to, że był panu wierny. Dokuczali im obu jako obcym i do tego buntownikom, i niewiadomo, któremu gorzej. Po jakimś czasie przywykli i do tego obaj, ale gorzej było zawsze panu, Miał czego żałować pan i miał co wspominać. A Franek miał zawsze wolną głowę.

— Panie dziedzicu — szeptał Franek — nie trza się zamyślać a zapamiętywać. Niedobrze tak długo patrzeć w jedno i tosamo miejsce. Poco się pan dziedzic wpatruje w tę martwą ścianę?

— Nie rozumiesz ty tego, Franek. Jeden znosł, a inny nie może. Tobie lżej.

— Wiadomo, że lżej. Ja siebie nie przyrównuje. Co ja? Chłop zawsze do wszystkiego przywykły. Ja rozumiem, że panu dziedzicowi jest ciężko. Jakby ja gdzieś miał takie trzy folwarki i tyle lasu, i konie, i bydło, i piękną taką panią, i takie piękne dzieci, toby się we mnie wszystko przewracało. Ja wiem.

— Nie o to idzie, Franek. Nie rozumiesz.

— Rozumię ja, panie dziedzicu, oj rozumię! I o to idzie i jeszcze o insze. Jak nam pierwszego razu wydali kazionne koszule, to mnie było w sam raz, jak i zawsze, a panowie to się jeszcze jak długo męczyli, zanim ta skóra do zgrzebłego płótna przywykła? Ze wszystkim na katordze jest tosamo. Państwu zawsze ciężej w niewoli.

— Niewola niewolą. Ale, powiadam ci, Franek, wolałbym sam ze sobą w ciemnym lochu siedzieć, do muru przykuty, niż wciąż i bez ustanku z tą straszliwą hałastrą, niż z gołą głową stać i wyciągać się przed byle hyclem, niż to boże słońce oglądać na katorżnej robocie.

— Oj nie, panie dziedzicu! Lżej między ludźmi, choć to wszystko łobuzy, zbóje i bluźnierce! Lżej z robotą, choćby najcięższą. Bez roboty, bez tego ich złodziejskiego jarmarku i nieustannego gwałtu zmartwiałby człek ze szczętem. Zastałaby mu się w sercu krew i już na nic człowiek, zjadłaby go melankolja, albo, czego Boże broń, zrobiłby sobie co złego, jako zrobił choćby świętej pamięci pan Ścisło.

— Mądry był Ścisło. Wszyscy myśleli, że lekkoduch, bo ino żarty ze wszystkiego stroił. A on zrobił najmądrzejszą rzecz. Powiedzże ty, Franek, poco ja mam żyć? A poco ty żyjesz? Przecie i mnie i ciebie skazali na całą wieczność, bez terminu.

— Takich, jak my z panem dziedzicem, jest też bardzo dużo na Sybirze. Jakże tyle ludzi ma nie

wyżyć? A taka śmierć — to grzech ciężki, bardzo brzydki. To człowiekowi całkiem nie przystoi. Nie.

— Głupi jesteś, Franek. To nie żadna racja. Odpowiadaj na to, co pytają. Ja powiadam, że lepsze nic, niż takie życie. No i co?

— Nieprawda, panie dziedzicu. Jakże nic może być lepsze od czegoś, chociażby najgorszego? I ja wierzę i pan dziedzic tyż wierzy, choć inaczej, po pańsku, i w niebo i w piekło i w to życie przyszłe. Wierzym z panem oba, bo to jest najszczersza prawda. No i co przyjdzie z tego samobójstwa? Zdawało się i panu Ściśle, że tam będzie aby ciemna noc, zresztą i nic. Lubił nieboszczyk, daruj mu, Panie, kpić z rzeczy świętych. A tymczasem sam teraz widzi, co sobie narobił. Za taki grzech, za samowolną śmierć w piekle jest, albo, jeśli już wielka łaska boska — w czyśćcu. Niechże on powie, gdzie mu lepiej, czy gorzej. Oj, wróciłby się on ku nam, wróciłby się, jeno nieszczęsny nie może...

— Gadasz, niczym nieboszczyk ksiądz Bojdoł, ale i ja przecie katolik. Jabym się nawet chwili nie namyślał, gdybym się jeszcze nie spodziewał, że mi moich lat umniejszą.

— A bo i prawda, że umniejszą. Panie dziedzicu, najgorszy zbój Charyton Plescow, co siedmioro ludzi zarżnął, wyszedł od nas przedwczoraj na wolność, bo mu dwadzieścia lat minęło, ile że na katordze przez cały czas się wstrzymywał, nikogo nowego nie zamordował. A cóż my. Nas puszczą i po piętnastu latach, czyli że już za dziesięć lat. Będziem jeszcze żyli, panie dziedzicu.

— Inne prawo na zbója, inne na nas. Naszym manifestu ani amnestji nie ogłoszą!

— Bedzie, bedzie — ino czekać cierpliwie. Póki wszystko jeszcze świeże, to rząd jest zawścieknięty. Ale za jakie jeszcze pięć lat...

— Głupi z ciebie człowiek. Za pięć lat! Czy ty, Franek, nie czujesz, że ja do tego czasu oszaleję, albo umrę zé zgryzoty? Ja już nie mogę! Już całkiem nie mogę! Ani roku, ani nawet pół roku... O Boże miłosierny...

Dziedzic urwał nagle i ukrył twarz w dłonie. Skurcz rozpaczy ściskał go za gardło. Oddech stawał się coraz gwałtowniejszy, coraz bardziej szarpiący...

— Dobrze, dobrze, niech se pan dziedzic nad sobą popłacze, niech. Niechże se pan powzdychają dowoli. Ino do ściany się obrócić, a cicho, a z głową się nakryć. Bo się będą ścierwy jedne znów wyśmiewały. Zbóje sobacze, przeniewierce, pogaństwo moskiewskie, zatracone cudzoziemce, po ludzku nie czujące...

* * *

Przysyłała pani Złotowska mężowi, co tylko mogła, żeby mu katorgę umilić. Byłoby mu niezgorzej, a przy nim i Frankowi, gdyby te wszystkie rzeczy wolno było mieć. Ale mało co przepuszczali w kancelarji. Nic dla wygody, nic dla przyjemności. Ani odzieży, ani bielizny, ani poduszczyny. Ledwo jaką książkę przepuszczono z łaski, co dziesiątą. Ledwo po parę marnych rubli wydawano mu raz na miesiąc z tych wielkich pieniędzy, które dla niego złożyła żona w kancelarji. Czasy były surowe. Łapówki brali, dziękowali, obiecywali. Brali sute łapówki i w Irkucku i w Petersburgu, ale na tym był koniec. Próbowała stęskniona żona wykupić męża za ogromne pieniądze u wyższych urzędników, próbowała za mniejsze u miejscowych. Przysyłała na Sybir swojego człowieka, sprytnego i nie było kogo. Kręcił się, jak mógł, i kręcił swoim sprytem

sypał pieniędzmi pani Złotowskiej, pił z czynownikami, grał z niemi w karty i przegrywał, robił, co mógł, i nic nie zrobił.

Żony zaś i dzieci nie chciał pan Złotowski na oczy oglądać. Uparł się. Surowo zabronił przyjazdu. Zagroził, że jak bez jego pozwolenia przyjadą, to do nich na widzenie nie wyjdzie. Znała żona upór mężowski, więc słuchała i płakała gorzko. Nie rozumiała męża i myślała, że wpadł w jakie dziwactwo. Nie mógł tego wyrozumieć żadną miarą i Franek.

— Bo i czemu pan dziedzic wielmożnej pani i paniczów i panienki do siebie nie dopuszcza. I pani byłoby lżej i panu. Dzieci też podrosły, pewnie są strasznie piękne. Taż to już osiem lat...

— Milcz, Franek, jeżeli się na tych sprawach całkiem nie rozumiesz.

— Uparł się jeno pan dziedzic, za przeproszeniem pańskim, i tyle. Cóż tu jest do rozumienia?

— Głupiś jest. Nawet mi o tym nie gadaj. To ty sobie myślisz, że jabym tu wytrzymał bodaj jeden dzień, jakbym ich raz na oczy zobaczył? Sto razyby mi było ciężej. Serceby mi pękło. Mało razy ci to gadałem?

— Insi panowie tyż po pańsku czują, a nie tak robią. Który aby tylko ma tam gdzieś te pare tysięcy złotych, a jak nie ma, to się żona zapożycza i jedzie ku niemu. A panu dziedzicowi lub pani dziedziczce co znaczą pieniądze...

— Insi to są insi. A ja też jestem inszy. Rozumiesz?

Szczeremi łzami pisane były te listy żonine. Płakał, czytając je, pan Złotowski, ale w uporze się nie zmienił.

Pisywały dzieci. Napisał, jak umiał, swój list do nieznajomego ojca najmłodszy pana Złotowskiego

synek, który przyszedł na świat już po skazaniu ojca.

Najukochańszy Tatusiu!

Ja już jestem taki duży i pisam. Kiedy my wszyscy pojedziemy do Ciebie? Bo mamusia płacze i chce jechać, i Jurek chce jechać, i Janka chce jechać, i Witek chce jechać, i ja chcę jechać najbardziej. U nas teraz bardzo gorąco i dzisiaj była burza i burza złamała największą gruszkę w ogrodzie, ale szkoda, bo gruszki jeszcze są zielone. Już są małe pieski od Nory. Urodziło się aż siedem piesków, a mój najładniejszy i ma na imię Pipcio, bo jest całkiem podobny do takiego. Więc proszę Tatusia zaraz do nas wszystkich napisać, kiedy my wszyscy mamy jechać, bo wszyscy chcą ciągle jechać i ja bardzo chcę znać swojego Tatusia. Całuję Tatusia w buzię i w rączki i w nóżki.

Tadzio Złotowski.

Nie pisał dziedzic w listach do żony prawdziwej przyczyny swojego uporu. Nie mówił prawdy i Frankowi. Zamykał jeszcze w sobie twardo niektóre swoje tajemnice. Jeszcze mu na to starczyło siły. Twarde miał życie honor szlachecki i ten wewnętrzny, najgłębszy w człowieku wstyd.

Tęsknił okropnię, a nie chciał się żonie, dzieciom pokaząć w całej swojej nędzy, w kajdanach, z głową przęz pół ogoloną, w zgrzebnej siermiędze i w całym swoim pohańbieniu. Za nic nie chciał swojego cierpienia poniżyć przed wrogiem, nie chciał żony płaczącej ściskać w oczach dozorców i za ich pozwoleniem. Nie chciał swych krwawych łez i swojego okropnego kochania okazać siepaczom, którzy go jak psa traktowali i tyle razy jak psa sponiewierali...

A na samym dnie tkwiła w dziedzicowej duszy bardzo ukryta w ciemnym wstydliwym zakątku jeszcze jedna dziwna i głęboka racja. Pozbawiła go przemoc wszelkich ludzkich praw. Odebrała mu wszystko. Nieważne się stało przed prawem jego ślubne małżeństwo z ukochaną kobietą. Wolna ona była, jeżeliby tego zechciała. Więc już nic nie chciał. Nie miał żadnego prawa czegoś od żony zażądać i nie chciał niczego od niej przyjmować. Nie było w tym żadnego sensu. I to wiedział pan Złotowski. A jednak dręczył siebie i dręczył nieszczęśliwą żonę dla fikcji. Ale fikcjami zaczyna żyć człowiek, kiedy mu zabierają jego prawdziwe ludzkie życie.

Jakże to miał wyrozumieć człek prosty i nieuczony, pańszczyźniany chłop, Franek. Męczył pana co jakiś czas i namawiał i kusił panią dziedziczką, co jest „jak ta róża", i temi pańskiemi dziećmi, co pięknie wyrosły. Nieraz bardzo się gniewał pan dziedzic i krzyczał na Franka po swojemu, po pańsku.

— Milcz, głupi, kiedy nic nie rozumiesz!

* * *

Lata płynęły, a Franek wciąż był głupi. Znudziło się to dziedzicowi, zaczął Franka uczyć. Ciężko szła nauka z głupim. Z ledwością nauczył się czytać, pisać, trochę rachować. Ale uparł się dziedzic, pędzał go do nauki i męczył go, aż się chłop potem oblewał.

Uczył go dziedzic, że ziemia jest okrągła i że się obraca po niebie wkoło słońca. Uczył go o tych rozmaitych ciepłych krajach i o obcych narodach. O trudnych początkach rodu na ziemi, o czasach dawnych, o wielkich królach ziemskich i o narodach, co

w wiecznej wojnie ze sobą żyły, z których wiele naszczęt wyginęło, reszta zaś ocalała.

O Polsce i o polskiej sprawie, za którą Franek wojował, za którą te kajdany nosił.

O szlachcie, która była uczona i mądra, i o chłopach, którzy byli ciemni i głupi. O tym, jak to szlachta chciała Polskę z niewoli wybawić, i o tym, jak przez tę ciemnotę chłopską wszystko naszczęt przepadło.

Uczył się Franek z trudem, ale pilnie. Wielka w nim była do wszystkiego ciekawość. Pan opowiadał, a on ino słuchał.

Kiedy zaś się już trochę poduczył, ośmielił się Franek, zaczął pana dziedzica sam pytać:

— Czy tyż tak już zawsze, proszę łaski pana, bywało na świecie, że był ten bogaty i ten ubogi? Czyli już od samego początku świata, czyli dopiero potym...

Mnie się widzi, na mój głupi rozum, że trza było, żeby panowie ślachta chłopów najpierw choć trochę rozumu nauczyli na jakie dobre parę lat, zanim ogłoszone było powstanie. Wszystkieby poszły. To, proszę pana, czemu tak nie było zrobione?

— Mnie się widzi, panie dziedzicu, że z tych wszystkich zbójów, obwiesiów i łajdaków, co z nami siedzą, to nawet może połowa jest takich, co nie ze złości źle robili, ino że prawie jakby były przymuszone. — Z głodu, z bidy okropnej, z tego opuszczenia przez ludzi, proszę pana. Pan tego nie wie, bo się pan wielmożny z niemi nie zadaje, i racja, ale ja ich wszystkich znam. Co niektóry opowiadał! Zgroza bierze. A sędzia jego sądzi, który nie potrzebuje ani ukraść, ani zabić, bo od małości uczony i po rodzicach pieniądze ma i pensję bierze okrutną

za sądzenie. Chyba tak być nie powinno? Chyba są takie książki, w których stoi, że tak jest bardzo źle?

— Panie dziedzicu, chyba przez te pieniądze najwięcej krzywdy na świecie. Okropna niesprawiedliwość, jeżeli, na ten przykład, jeden swoje krwawo zarobione pieniądze zgubi, a drugi, ten próżniak ladaco, znajdzie i używa. Wedle tego, to za nic idzie cała zasługa. Każdy się ino stara te pieniądze od bliźniego wycyganić. Chyba tak być nie powinno, żeby w takim marnym malowanym papierku, jak te sto rubli, było aż tyle siły...

Przeróżne były Frankowe pytania i dziedzic odpowiadał rozmaicie. Czasami rozwodził się z ochotą i obszernie, czasami kręcił mądremi słowami, a zawsze nie o tym, o co chodziło. Robił się jeno zły i nic nie odpowiadał. Nieraz Frankowi jeno nawymyślał i kazał mu milczeć, a w takich razach zwykle nazadawał mu tyle do nauczenia, że chłop, zmiarkowawszy, długo się namyślał, zanim się o coś takiego zapytał.

— Mnie się widzi...

Namnożyło się we Frankowej głowie dużo ciekawości. Dumny był, że już dużo umie, a chciałby umieć coraz więcej. Zaczynał już czytywać samodzielnie, a pan mu jeno objaśniał trudniejsze kawałki. Pisał niezgorzej i z rozkoszą przepisywał z książki do kajetów długie ustępy, które mu się szczególniej podobały. Lubił w rozmowie z dziedzicem popisać się trudnym zagranicznym słowem i sam się sobie dziwował, że jest taki mądry.

*
* *

A czas nie płynął, jeno unosił się w ich życiu więziennym, jak gęsty duszący pył. Dłużyły się godziny

i dnie, a nie liczyli miesięcy i lat, bo nie mieli na co czekać, ani nie było w ich życiu żadnych wydarzeń.

Wdychali tę więzienną kurzawę czasu pan i sługa — jeden z tępą, desperacką obojętnością na wszystko, drugi z wytrzymałością chłopską, która jest chłopa od wieków poratowaniem.

Plunął pan na wszystko, co jeno jest na świecie, dawno już machnął ręką na siebie samego, niech mnie djabli biorą! I wzięli djabil pana. Trzymał się Franek wytrwale, jako ten perz się trzyma chłopskiej roli. Mówił sobie: trza ścierpieć — i żył wciąż jednakowo, po latach tak samo, jak od pierwszego dnia. Pan rzadko a cichaczem płakiwał, chłop codzień głośno wzdychał.

Opadała na nich kurzawa cichuteńko, niezr.acznie a bez przerwy. Uścielała się wokoło potroszeczku, urastała w grubą warstwę, tężała, udeptywał ją powszedni dzień. Zbierał się rok za rokiem, ale czasu nie ubywało, bo obaj byli skazani na całą wieczność — bez terminu.

Pewnego dnia po robocie zamyślił się Franek nad książką i rachował coś na palcach, a pan, który leżał obok na tapczanie, rzekł, jako mówi do uc ia nauczyciel. Po prawdzie dawno już zarzucił dziedzic nauczanie, bo go ogarnęła od paru lat melancholja, ale Franek douczał się sam, czytając różne książki, które pani dziedziczka wciąż dosyłała mężowi, choć on ich prawie do ręki nie brał. Kpił z Franka pan Złotowski i przezywał go uczonym, ale przyzwyczaił się napędzać chłopa do książki, więc rzekł i teraz:

— Czego nie czytasz, tylko o głupstwach myślisz? Szkoda jeno tej świecy...

— Panie dziedzicu, toż ja właśnie miarkuję, że dziś wypada akurat dwanaście lat od naszej bitwy pod Młodojewem. O tej porze szliśmy w tę straszną zlewę po nocy gościńcem do Dobrzyjałowu. Pioruny, jak wszyćka djabli, a łyska się raz po razu. Ludzie przemokli, klną, wołają jeść, spać (trzy noce my w te dni nie spali!)... Zaś ja w przedniej straży, a pan dziedzic z nami na Łysym. Mignęło mi się coś przy łyskawicy i myślę sobie:

— Ktoś ku nam wali na białym koniu, trza krzyknać, bo roztratuje... I w tę samą chwilę wpada ułan, aż paru obalił. Ściągli go z konia, pan jego pyta, co i jak? Torbę mu zdjęli i przy latarni do papierów. Nadjechał pan gienerał i radzą, a my stoim. Radzą i radzą, sołdata na durch przepytują, boi się Moskal, gada wszystko. Jan nie huknie pan gienerał.

— Chłopcy, psiakrew, uszy do góry i jazda naprzód! Za dwie godzin dojdziem, a za trzy będziem żryć i pić i spać! Trzy szwadrony ułanów w Młodojewie nocuje! Kasę korpuśną prowadzą, amunicję, żywność. Wszystko będzie nasze! Piechoty aby dwie roty — armaty się po nocy nie liczą. Wypada ich wszystkich po trzech na jednego. Śpią psiekrwie, niczego się psiekrwie nie spodziewają. W papierach wyraźnie stoi i sołdat tosamo gada. Wyrżniem ich do nogi psubratów! Za nasze niespane noce, za nasze głodne brzuchy, za dobijanie rannych, za to ostatnie pranie pod Jurzcem, pod Czapkowem!... Nie może się nie udać, ino rypać, ino rypać, aby, aby dopaść przed ranem.

Krzyczy pan gienerał, a tu raz w raz pioruny głuszą i za każdym razem łysk, łysk... Jak nie wrzaśniem, jak się nie kopniem! Po godzinie zeszli my z gościńca w pole, pobudziły po drodze chłopów,

nabrały ze dwudziestu — dobrze podprowadziły chłopy. I wszystko było, jak właśnie obiecował pan gienerał. Naprzód podkradł się z nami do wsi pan dziedzic i aby nakazuje wkółko:

— Cicho, a cicho...

Zerwał się na to pan Złotowski, aż dźwiękły kajdany, a chrapiący sąsiad Trygubow, srogi zbój, zbudził się i zaczął kląć szpetnie, po kajdaniarsku.

— Milcz zbóju, a ty, Franek, śpij i nie zawracaj głowy po nocy. Też mu się w porę przypomniało! Ja nic nie pamiętam i nie chcę! Rozumiesz?

— Ja nic, panie dziedzicu. Ino sobie myślę jakże to może być, żeby aż dwanaście lat od tego Młodojewa? Toć to wszystko mi się widzi, jakby było wczoraj! Kiedyż to się aż tyle uzbierało?...

— Głupi. Kiedy się uzbierało! Niech będzie dwanaście, niech będzie i sto dwanaście. Zawsze tu będziesz jednakowo gnił między zbójami. On mi tu będzie opowiadał! Wszystko djabli wzięli i nas też. Tylko głupi wspomina. Śpij!

Zgasił Franek świecę posłusznie i zasnął zaraz. A dziedzic do rana przewracał się po pościeli i dzwonił kałdanami.

Jeszcze kilka lat. I znowu parę lat.

Codzień o piątej rano wyrywał się pan Złotowski z dalekich snów na przeraźliwy dźwięk bębna, budzącego katorgę. Codzień, budząc się, witał przekleństwem nowy przeklęty dzień. Codzień w chwili wstawania do obmierzłego życia wymyślał Frankowi bez powodu, za byle co, za nic i tak się już utarło od wielu lat.

Codzień rano klepał Franek swoje pacierze, codzień śpieszył się, lecąc po wrzątek, żeby prędzej podać panu herbatę. Wzdychając dobrotliwie,

słuchał panowego zrzędzenia i nic nie odpowiadał na niesprawiedliwe przyczepki, jeno sobie wzdychał, jakby rozumiejąc, że to nie na niego pan pomstuje co rana, ale na to ciężkie życie...

Codzień, codzień...

Aż pewnego dnia przerwało się jedno ogniwo w pana Złotowskiego kajdanach. Zadumał się więzień. Zabrali go zaraz do kuźni i zajęli się naprawą. W kilka minut spoili na gorąco ogniwo i zaklepali je wnet. Rzecz zwyczajna, ale pan Złotowski był poruszony niezmiernie.

— Patrzaj, Franek, żelazo ustąpiło, a człowiek wytrzymuje.

Przetarło się od chodzenia. Moje ta jeszcze mało wychełtane, bo ja chodzę po tutejszemu, jak trza: maluśki krok. A pan dziedzic zawsze po dawniejszemu krok ma szeroki, niecierpliwy. Siepie się ten łańcuch na nodze, targa się, aż się panu przerwał.

— Nie o to idzie. Ja mówię, że hańba łańcuch na sobie od noszenia aż zedrzeć! Podlec jest ten człowiek, podły niewolnik! Albo się nie dać zakuć... Albo jak już zakują — zdechnąć w czas. A człowiek wszystko przetrzyma. Takiego niema co żałować. Psiakrew. Czemu my się dali żywcem wziąć w tej karczmie? Coś, głupi, wygrał?

— Wygrać, my nie wygrali, ale jak z nami karczmę podpaliły, jak my znowu tych ładunków już całkiem nie mieli. Co było robić?...

Zabrakło już panu Złotowskiemu do wszystkiego sił w tym roku siedemnastym. Nawet się już niczym nie trapił, tylko żył z dnia na dzień w zupełnej

martwocie. Nie czekał tej amnestji, do której wzdychali więźniowie, nie zważał, co mu tam żona od tylu lat wciąż w kółko a coraz inaczej pisała o jakichś tam staraniach, o jakichściś tam swoich głupich nadziejach. Nawet oddawna już nie przychodziła znajoma pokusa: wziąć i skończyć ze sobą. Wszystko jedno! Szedł swoją koleją dzień za dniem i wciąż był jednaki, tensam, szary, powszedni, plugawy katorżny dzień. Wlókł się obmierzły czas, wlókł się i pan Złotowski bez myśli i bez woli za tą swoją straconą dolą.

Odeszła go ciekawość do listów, przychodzących z domu. Zmartwiało w nim serce dla wiernej żony, która się zestarzała w tęsknocie, dla nieznajomych dzieci, które się już wychowały i dorosły bez ojca. Ani razu nie napisał do domu przez ten ostatni rok. Nieraz dopiero Franek otwierał listy i czytał je panu, bo leżałyby w zapomnieniu nieczytane.

— Oj, panie dziedzicu, jakże tak? To na to tak pięknie pisze pani dziedziczka i panicze i panienka, żeby to aby ino w naszej kancelarji czytały te podłece pisarki? Toć gdyby o tym wiedzieli nasi państwo ze Złotej Woli, jakżeby się strasznie martwili. Nie pisze pan sam, niechta jeszcze, jak nie można, to nie można. Ale list napisany przeczytać, toć to mała fatyga.

Nie mógł znieść Franek tej dziedzicowej martwości. Żal mu było pani i szczególniej panienki Janki, która najśliczniej do tego ojca pisywała, aż łzy w oczach stawały przy czytaniu. Strasznie się skarżyła panienka, że ojciec nie pisze. Strasznie prosiła o to jedno słowo odpowiedzi, o to pozwoleństwo na przyjazd.

Gadał panu o tym bez ustanku, a pan po swojemu:

— Odczep się, głupi, nie twoja rzecz! — A potym zaciął się pan i milczał, jakby był głuchy, jakby tego serca zupełnie nie miał.

Więc nareszcie odważył się Franek i samowolnie, kryjąc się przed panem, odpisał pani i panience długi i szczery list o tym wszystkim. Odważył się paniom radzić, żeby na nic nie pytały, tylko przyjechały pana podtrzymać i zratować.

— ...Bo bardzo już z panem kiepsko, jak jeszcze nie bywało. Nie mówi, jeść nie chce, na nikogo nie patrzy, ino wciąż prosto przed siebie. Patrzy, a jakby nic nie widział. I tak już ze dwa miesiące. Mnie się już nic ze szczętem nie słucha, listów nie czyta, a ja jemu każdy list odczytuję, tylko nie wiem, czyli pan tego czytania słucha. Niech wielmożna pani dziedziczka się namyśli, czy na tę biedę panową nie trzaby do pana przyjechać? Pan po dawnemu nie chce, ale jakby już panie wielmożne zrobiły taki straszny śtuk drogi, to przecieby swojego uporu poniechał, boby w nim serce zmiękło...

Pisał, jak tylko umiał, i wypadł list całkiem niezgorszy. Wszystko o panu opisał, co tylko było trza, o jednym tylko przepomniał, o sobie. Podpisał się poprostu jeno Franek, słusznie myśląc, że panie o nim z dawniejszych listów panowych wszystko już wiedzą. A kiedy list zaszedł do Złotej Woli, nikt w domu nie wiedział, co za jeden jest ów Franek, jakiś człek prosty, który się wtrąca do ich spraw rodzinnych i daje swoje rady.

Minęły ze dwa miesiące, przychodzi odpowiedź. Czyta Franek ten list głośno przed panem.

— ...Pisał tu do nas o tobie, mężu, jakiś człek poczciwy, jakiś Franek, który z tobą tam jest i dużo smutnego nam opowiedział. Co on za jeden? Jak się nazywa? Zaco skazany? Pozdrów go od nas i podziękuj za dobre słowo. Widać jesteście razem niedawno, bo nigdy nic o nim nie pisałeś...

Przykro się chłopu zrobiło, czegoś się bardzo zawstydził, spojrzał na pana ukradkiem, ale pan patrzał przed siebie martwemi oczami i niewiadomo było, czy słuchał, i, jak zwykle, niewiadomo było, o czym myślał.

* *

Widzi Franek, że z panem coraz gorzej. Tęgi szlachcic był pan, o głowę wyższy był od Franka i szerszy w plecach i o wiele mocniejszy. Ale zanadto pańska była jego moc.

Smutki go jadły i jadły, aż go już, widać, biedaka, dogryzają. — I bardzo się zmartwił wierny sługa.

Przestali brać starego na robotę. Nic nie chciał gadać pan przez parę tygodni. Zabrali go do lazaretu, a kiedy go wyprowadzali, żegnał go Franek u progu i w rękę go pocałował i płakał. Nie zważał na to pan, bo był jakby nie całkiem przytomny na umyśle. Wiedział Franek, że pan już zamrze i że go już nigdy nie zobaczy.

Został sam, bez pana i bez swojego człowieka, bez towarzysza tylu lat. Miejsca sobie nie mógł znaleźć, wszystko mu naraz zbrzydło. Przycichł, z ludźmi nie gadał, martwił się bardzo

Powiada sąsiad Trygubow, srogi zbój, który koło nich od pięciu lat spał i od pięciu lat drwił z chłopa:

— Źle ci bez służby, mużyku, nie masz komu służyć, nie masz kogo po rękach całować. Chodź, głupi, do mnie na służbę. Ja będę dla ciebie lepszy pan...

Tęsknił Franek za panem, dopytywał się o zdrowie, kartki do niego pisywał. Ale pan nie odpowiadał, a felczer mówił, że umiera. Chłop wzdychał i smęcił się bardzo, a o panu myślał, jak o tym nieboszczyku. Rozmyślał o takim końcu wielkiego pana, pana całą gębą, pana z dziada pradziada, dziedzica Złotej Woli, Złotej i Złotówki.

Wspominał go godnie a wdzięcznie. Za pańską opiekę, za tę braterską pomoc, za ten czaj i cukier, za sprawiedliwy, równy podział we wszystkim, co przysyłała pani, za tę wielką naukę, którą go pan z łaski swojej obdarzył.

Wspominał sobie stare czasy, kiedy nastał do dworu w Złotej Woli za parobka. Jako to słońce na niebie był dla niego ten pan, że nie śmiał mu nawet w oczy spojrzeć. Bogaty, pyszny, taki zdrowy i piękny. Lubili go ludzie, choć był popędliwy i zawsze przy sobie miał szpicrutę z bykowca, co bolała, kiejby stalowy pręt. Sprawiedliwy był, roboty pilnował, ale i o człowieka dbał. To jedno było złe, że pana rządcę i psiawiarów karbowych porozpuszczał i zostawił im wolne ręce do bicia. Przez tych sługusów zacieczonych, szczególniej zaś przez jednego okrutnika, Paducha włodarza, było w Złotej Woli piekło, jako na te czasy bywało wszędzie po okolicy — i dalej.

Służył już pięć lat, a nie gadał jeszcze ani razu z panem. Dopiero szóstego lata we zwózkę wywalił,

na miedzy, bo mu się luśnia z osi obsnęła. Jedzie sam pan rżyskiem, na Łysym — dojeżdża i dalej krzyczeć — na deszcz się zbierało, najpilniejsza robota była.

— Ja nie winien, proszę jaśnie pana — luśnia się obsnęła! Samo się, jaśnie panie, przeważyło na stronę...

— To ja ci będę luśni pilnował? Czemu wóz nie zrychtowany? Coś robił, kundlu, jakeś rano w pole wyjeżdżał?

I ciach, ciach z konia — jakby kto żywym ogniem po plecach przejechał. Długo pamiętał Franek ostry smak dziedzicowego bykowca. Ale żalu żadnego nie miał i lubił patrzeć, kiedy dziedzic na Łysym w pole przyjechał, bo bardzo pięknie było popatrzeć i na pięknego pana i na pięknego ogiera.

Potym nadeszły te czasy i zaczęli ludzie po wsiach gadać, że musi będzie z rządem szlachecka wojna o tę pańszczyznę. Różnie gadano między chłopami, różnie poczynali sobie dziedzice. Złotowski pan odrazu się ze swoimi ugodził i przystali. Jeszcze na rok przed samą wojną na św. Michał przestały chłopy przychodzić na pańskie, a który przychodził, brał dniówkę. Tak było w całych dobrach Złotowskich.

Zbierało się na tę wojnę, gadali rozmaicie, prawdę i łgarstwo, chodziły skróś do tego ludu gadki dziwne i do niczego nie podobne. Bałamucił się jeno naród i nic nie wiedział, czego ma chcieć. Nareszcie się zaczęło na dobre — a tu jeszcze wciąż nic nie było wiadomo temu chłopu. Mało który wierzył, a wszyscy czekali.

W miesiącu maju przechodziła mimo Złotej jedna wielka jakaś partia i rozstawiła się w lesie

Posłali ze dwora na piętnastu furach wszystkiego, co było trza: owsa, siana, kartofli, sadła, słoniny, okowity parę beczek z gorzelni, pognali trzy woły na rzeź, baranów ze dwadzieścia. Sam dziedzic z dziedziczką za furami na wolancie jechał. Przyjechali do lasu — okropnie ciekawy był Franek tego polskiego wojska. Dziedzic ze starszyzną się zabawia, Paduch każe z fur wszystko zwalać i pogania, potrąca jak, przy każdej robocie.

Spuszczał Franek z drugim fornalem beczkę z okowitą z wozu po desce. Coś się nie tak stało, spadła beczka, obluzowały się krzynę klepki, zaczęła beczka ciec. Jak nie zacznie Paduch cholerować, jak nie weźmie prać. Objuszył Frankowi gębę, Franek stoi, ino ślepiami świeci.

Chodził niedaleko taki siwy nieduży pan wojskowy z partji, cygar kurzył i na wszystko z za okulara patrzył. Podszedł bliżej, uśmiechnął się dobrotliwie i pyta:

— O cóż to, kochaneczku, tak się gniewasz? Co te łajdaki zrobiły?

— Szkody, wielmożny panie, bestje narobiły. Beczkę zluzowały. Bedzie straty na jakie trzydzieści złotych...

— To nicponie jedne! Ino uważasz, kochaneczku, że ja tu oboźny — czyli bez mojej woli nikt się nie ma prawa rządzić. A u nas w partji ostre prawo — bić kogokolwiek zabronione nawet oficjerom, zato nakazane bić Moskala. To one Moskale te chłopy, sołdaty poprzebierane?

Padusz wybałuszył oczy i nie rozumiał. Spytał pan jeszcze raz i wciąż dobrotliwie.

— Nie, wielmożny panie, to są ze Złotej nasze parobki

— I powiadasz, kochaneczku, że aż na trzydzieści złotych jest tej szkody?

— Wielmożny panie, bedzie co najmniej na czterdzieści, precz ciecze!

— Czterdzieści to czterdzieści, ja ci wierzę. Chłopcy — krzyknął pan i zaraz przyleciało paru.— Brać go do dyżurnego! Niech mu w tej chwili dysponuje czterdzieści batów, ani mniej ani więcej — za samowolę w obozie.

Przyleciał Paduch do pana na skargę, stęka z bólu i płacze. Sczerwieniał pan Złotowski z gniewu, że jego człowieka to spotkało. Gniewa się bardzo, a stary pan oboźny ino ręce rozkłada i uśmiecha się dobrotliwie.

— Prawo wojenne, panie dziedzicu, prawo, kochaneczku. U dziedzica kochanego jeszcze, widać, biją, a u nas już przestali. Cóż ja na to poradzę?

Zrozumiał wówczas Franek, że słuszna jest ta polska sprawa.

A w miesiąc później wybierał się sam dziedzic w daleką drogę. Jechał we cztery konie, wypakowaną bryką, z całą bronią, jak na wielkie polowanie. Z tyłu szedł Łysy na powodzie, jak na jarmark. Jechać miał z panem tylko stary furman Wajdecki. Ale w ostatniej chwili spostrzegł pan, że trza jeszcze kogoś do pomocy — zawszeć było koni pięć. Pomyślał i kazał wołać Franka, wziął go nabok i pytał

— Franek, uważasz ty, gdzie ja jadę?
— Skąd mam wiedzieć, jaśnie panie. Nie wiem.
— Nie wiesz dużo, ale zawsze trochę wiesz? Co?
— Juści prawda.

Bo właściwie wszyscy dworscy wiedzieli, że dziedzic jedzie na wojnę.

— Chcesz ze mną jechać? Widzisz, za mało jednego Wajdeckiego do pięciu koni. Będziesz przy mnie do usługi i przy koniach, strawnego będziesz brał dwa złote. Jak nas nie powystrzelają, to dostaniesz wielką nagrodę, a jak cię zabiją, to cię ino zakopią. Jedziesz?

— Ano. Jak pan dziedzic nakazuje...

— To siadaj na kozieł. Wajdecki, ruszaj! Stój!

Zeskoczył jeszcze pan, objął wpół zapłakaną panią, dzieci jedno po drugim podniósł do góry i ucałował, wsiadł i pojechali.

*

Ciężko chorował pan Złotowski. Długie tygodnie przeleżał, czekając na śmierć, bo nie spodziewał się wyzdrowieć i nie chciał. Nie wiedział doktór do samego końca, co to była za choroba. Próbował i tego i owego, wreszcie znudził się, wszystkiemu dał spokój i przestał zaglądać do chorego katorżnika. Leczył go felczer, jak umiał i jak mu przyszła fantazja. Kazał mu dużo jeść, to go znów głodził, puszczał mu krew, kładł na brzuchu lód, albo gorące okłady. Chory nic nie mówił i nie ruszał się zupełnie — niewiadomo, czy nie mógł, czy nie chciał. Mogli z nim wyrabiać szpitalniki, co żywnie chcieli, on na nic nie zważał. Nie miał na to głowy, ani czasu.

Myślał pan Złotowski przez cały czas choroby o wielkiej, trudnej sprawie. Dnie i noce ją rozważał, ciężko pracując.

Poco człowiek żyje?

Pogrążał się w to rozmyślanie stopniowo i dzień po dniu coraz to głębiej. Zapomniał o swoim losie, jako o rzeczy drobnej i nieważnej. Zapomniał o żonie i o dzieciach, zapomniał o dobrach dziedzicznych, o Złotej Woli, o Złotej i o Złotówce, zapomniał o Polsce.

Dopiero, kiedy przychodziła gorączka, wyrywały się z zapomnienia rzeczy przeżyte i przewijały się zagmatwane i bezładne. Łudziły, cieszyły, zabierały mu bezwolną duszę i porywały ją za sobą z powrotem w te umarłe lata.

...Blask śniegów, do nieba ręką sięgnąć, w duszy odwaga, siła i zwycięstwo, pełna pierś chłodnego, dziwnego powietrza, oczy, rozpuszczone po niezmiernych dalekościach, bolą z rozkoszy.

Góry, góry, lody, skały, jeziora, lasy, równiny, wsie, miasta — cały świat. Szczyt Jungfrau! I ona...

Pierwszy w życiu, burzliwy a piękny romans ze znacznie starszą od siebie, mądrą, okrutną i przepiękną panią „Aspazją" Leganowską, wdową po dwuch bogatych mężach i dziedziczką ich fortuny, osławioną na całą okolicę i na cały kraj, drwiącą z opinji w swoim zaczarowanym pałacu w starożytnym Grodzanowie i przyjmującą samych mężczyzn. Ta, która, zamęczywszy w krótkim czasie swoją piekielną miłością dwuch mężów, upozowała się na Aspazję z „Poganki" i chodziła nago przed całą opinją w atmosferze legiendy, zgrozy i powszechnej zazdrości. Ta, z którą pan Złotowski zwiedził pół Europy, z którą w ciągu pół roku przepuścił Łazory i Tłuściec, odziedziczone świeżo po matce.

Wówczas, na szczycie, oderwał wzrok od świata i spojrzał w jej straszne, w dal spoglądające oczy.

— Kiedy będę kiedyś umierał i przyjdzie moja ostatnia godzina, wiesz, co sobie powiem? Pocom żył? Żeby być przez ten jeden moment tutaj — z tobą...

Uśmiechnęła się łaskawie, patrząc sobie w dal.

...Wiosna, wieczór w parku, gdzieś tam słowik, jaśminy aż duszą. Pełno wokoło przecudnego szczęścia. O czym śpiewa słowik? O tym, co się ma stać. Pierwszy przesłodki pocałunek — narzeczona... I długo, wciąż całując, tłumaczy spłonionej dziewczynie, że to jest w człowieku najświętsze, że dla tego tylko warto żyć...

...Radość, duma, jakieś rozrzewnienie, pełne dobrych łez. Pierwsze dziecko, syn, jego dziedzic — Jureczek...

— To najwyższa moja radość. Nic mnie nie może spotkać w życiu nad to większego — mówi do żony.

A kiedy ruszali z pod Młodojewa, po zwycięstwie, ze zdobyczą, prowadząc jeńców, wśród radosnego śpiewania żołnierzy, rzekł był do kolegi:

— To najpiękniejszy dzień mojego życia. Niema większej radości, jak walczyć i zwyciężać!

Ale budził się z gorączki i znowu pytał: poco człowiek żyje? Czynił ten rachunek swojego życia bo wiedział, że umiera. Nie mógł się jednak niczego dorachować. Było w jego losach dobre, było nijakie, było złe — tego jednak do końca nie mógł zważyć nai rozstrzygnąć, czy warto było żyć.

Było mu ciężko umierać, nie dowiedziawszy się, czy tam po nim został, czy nie został jaki ślad. Czy przydały się na co światu jego siedmnaście lat codziennego cierpienia. Bo inaczej — gdzież jest ludzkiego życia sens?

Męczyło go i wyczerpywało w nim resztę sił to trudne myślenie. Wreszcie sił zabrakło i zabrakło myśli. Jeno się cieszył, że wreszcie już spocznie. A im bliżej był śmierci, — tym bardziej obce stawało się dla niego wszystko, co go przywiązywało do świata i co go kiedyś zabijało tęsknotą.

Nie bolała go myśl, że nie zobaczy żony, dzieci, kraju. Wydawało mu się, że żona i dzieci dawno zmarli i że już ich odżałował. Jedyną istotą żywą, którą jeszcze pamiętał i z którą się z duszy żegnał, był to jeno Franek, może dla tego, że do niego jednego było mu najbliżej, może dla tego, że on jeden był mu ze wszystkich najbliższy. Dom własny, rodzinna okolica i kraj ojczysty — były to jakieś niepewne obrazy senne, niewiadomo, czy istniejące gdziekolwiek naprawdę. Własne jego losy mieszały mu się w skołatanej głowie z obrazami życia innych znajomych ludzi, ze wspomnieniem ich cierpień, radości i wszelakich przygód. Patrzał na siebie obojętnie, coraz obojętniej — wreszcie odwrócił oczy ku nieogarnionej jakiejś przestrzeni, gdzie w pustce pływała leniwie, kłębiąc się i zwijając się w sobie, szara mgła.

Szara mgła wisiała naprzód pod powałą izby szpitalnej, ku której chory miał wzniesione oczy. Potym zasłoniła brudną bieloną ścianę, a w parę dni zabrała wszystko: chorych katorżników, ich stękania i rozmowy, szpital, katorgę, Sybir, cały świat.

Rozpowijała się, skręcała się ta mgła w dziwne znaki, w dziwne jakieś sny. Ciągnęła ku sobie

i dźwigał do niej chory ciężką głowę, to znów spuszczała się i zwalała się na niego całym swoim gąszczem. Dusiła go i mordowała bez miłosierdzia.

W jej szarych skrętach, pełnych przerażającej jakiejś nudy, układały się mętnie i niewyraźnie potworne, dręczące majaki, obrazy obłąkane i poczwarne, niepodobne do niczego. Było w nich jeno dreszczem przejmujące przeczucie nieodgadnionych i niepojętych rzeczy ostatecznych.

Szczerze pragnął śmierci pan Złotowski, a jednak straszna trwoga ogarniała go, kiedy mu zaglądały do oczu śmiertelne widma. Krzyczałby w niebogłosy o ratunek, gdyby miał jeszcze choć trochę sił do wydobycia ze siebie głosu. W rozpaczy, zlany strugami zimnego potu, otwierał jeno niedołężnie usta i poruszał wargami, usiłując coś zawołać, coś jeszcze w ostatniej chwili wypowiedzieć. Mocował się, dobywał ze siebie wszystkiej reszty sił. I ginęło w izbie szpitalnej jego niedołężne, ciche jak oddech szeptanie:

— Franek!... Franek!...

Ale usłyszał to wołanie wierny sługa.

* * *

Chłop chłopem. Rozpuścił się Franek naszczęt bez pańskiego dozoru. Przez siedmnaście lat pilnował go pan nieodstępnie, a teraz jeno trzeci miesiąc, jak go przy nim nie było, i zepsuł się chłop na nic. Żałował pana Franek, żałował i odżałować go nie mógł. Zaczął z tej żałości zapijać szwarcowaną gorzałką, zaprawianą dla większej mocy po kajdaniarsku — wywarem z machorki. Wdał się ze „szpanką“ i z „Iwanami“, za panbrat zaczął

żyć ze wszelką hołotą. Po całych nocach w karty grywał i zgrywał się zawsze, bo nie takiemu, jak on, było ograć katorżnych szczwanych szulerów. Przegrał swoje wszystkie rzeczy, że ino mu została jedna koszula i gacie, ten chałat i te „koty" na nogach. Podkładki pod kajdany też przegrał, ale pańskich rzeczy nie tknął, które zostały w skrzynce pod jego opieką. Nie ruszył nic, choć za swoje to bogactwo uważał, bo wiedział, że pan już po to nie wróci.

— Czego się trapisz, mużyku, czego wzdychasz? — pytał go sąsiad Trygubow. — Jeszcze żałujesz swego parszywego pana? Jeszcze się go boisz? Masz pełną skrzynię pańskich rzeczy — będziesz miał zaco pić przez pół roku... Głupi, za darmoś tyle lat służył — zadłużył się u ciebie twój parszywy pan. Weź byle co i postaw — wygrasz i odegrasz się całkiem... — Tak go kusił sąsiad Trygubow, srogi zbój.

A z drugiej strony drugi sąsiad, który zajął opuszczone dziedzicowe miejsce, rozbestwiał go opowiadaniami o swoich przygodach. Był to słynny na Sybirze Mielniczenko, zbrodniarz bez czci i wiary, gwałciciel i morderca kobiet.

Kręciły się poza częstokołem katorgi i zaglądały przez szpary między palami dziewki wszeteczne, kajdaniarskie kochanki. Który dużo pieniędzy ukradł, wygrał lub wyszachrował i miał na przekupienie dozorców, do tego je wpuszczano, żeby mu zabrały resztę i za to... Rzecz była na katordze zwyczajna, ale Franek, choć na to patrzył od siedmnastu lat, dopiero teraz, jak gdyby po raz pierwszy, zobaczył na swoje oczy tę straszną pokusę.

I pewnej nocy, kiedy wszystko wokoło spało, wstał i, skradając się jak złodziej, wlazł pod tapczan i zajrzał po raz pierwszy do dziedzicowej skrzynki.

Przez cały tydzień chlał Franek wódkę i fundował wszystkim, hojnie obdarzał dziewki, grał w karty, muzykanta sobie wynajął cygana koniokrada, który za nim chodził z celi do celi i rżnął na skrzypcach dla większej ochoty. Robił wszystko tak, jak było we zwyczaju na katordze, hulał godnie, zapamiętale, bez Boga Ojca, szeroko, po kajdaniarsku. Drwili z niego wszyscy, pijąc jego wódkę, grabiąc jego pieniądze i dzieląc jego całą ochotę.

Powiadali: — godną stypę wyprawiasz po panu, znać, żeś go miłował. — I śpiewali ochrypłemi od pijaństwa głosami pijacką „panichidę" po zmarłym. Franek trzy razy na dzień płakał rzewnie po panu i trzy razy na dzień wykrzykiwał biorąc się pod boki.

— Teraz nikt nie ma nade mną prawa! Teraz ja sam sobie pan! Ja wolny człowiek, katorżanin, dla mnie prawo nie pisane, co zechcę, to zrobię...

— Racja, racja, mużyku — drwił sąsiad Trygubow, który patrzył na te awantury Frankowe, jak na teatr.

Ostatniego dnia przegrał Franek w karty ostatni sprzęt po panu, przegrał i skrzynkę panową, przegrał całe swoje dziedzictwo. I powalił się pijany spać.

Boki zrywali sobie kajdaniarze, patrząc nazajutrz na jego minę, na jego niezmierne strapienie. Ryczał chłop wniebogłosy i oskarżał się, że jest podły złodziej. Płakał rzewnie, bo został sam na świecie, jako ta sierota, zarzucony na kraj świata, między podłych ludzi.

— Powieś się teraz, mużyku, — radził Trygubow — to ci jedno pozostało. Żaden wierny pies nigdy nie przeżyje pana, zdycha i on. Takie jest psie prawo. Rzemień przepiłeś, ale ja ci po sąsiedzku pożyczę postronka. Masz!

Bał się Franek zapytać felczera, co się przez ten tydzień stało z panem. Przeważał okropny wstyd przed panem i wolałby już, żeby było po wszystkim. To znowu chwytała go nieposkromiona żałość i tęsknota, więc modlił się gorąco, żeby pan wyżył jeszcze z parę dni, żeby go jeszcze mógł na oczy zobaczyć i godnie go pożegnać.

Powiedział mu wreszcie na podwórzu szpitalny posługacz, że pan już ledwie dyszy, że od dwóch tygodni nie je, nie otwiera oczu. Okropnie uradował się Franek i koniecznie już musiał pana zobaczyć. Nie prosił już za tym razem o żadne pozwolenie, bo wiedział, że go tam nie puszczą za ogrodzenie, chyba w bardzo ciężkiej chorobie. Ciężkiej choroby udać nie umiał, więc wziął i dźwignął z ziemi niezmiernie ciężki głaz, leżący pod częstokołem, i spuścił go sobie na obie nogi. Zabrali go i ponieśli do szpitala.

Pan tymczasem szeptał w agonji: — Franek... Franek...

*

Krzyczał wniebogłosy Franek, kiedy mu doktór opatrywał zmiażdżone palce u nóg. Żałował po niewczasie, że w głupocie swojej podstawił pod kamień obie stopy, kiedy wystarczyłoby i jednej, żeby się dostać do pana. Kiedy go zaniesiono do izby i zwalono na tapczan szpitalny, stękał z bólu, ale rozglądał się ciekawie wokoło po chorych. Było ich sześciu, ale pana Złotowskiego nie było między niemi. — Musi dopiero co pomarł i już go wynieśli nieboraka do trupiarni... Na nic się zdało moje bolenie i kalectwo. — Zmarkotniał chłop całkiem.

Dopiero po chwili, wpatrzywszy się pilniej w jedną siwą głowę, leżącą nieruchomie na poduszcze, zawołał: — O laboga! — poznał dziedzica.

Zgramolił się, jak mógł, z pościeli i poczołgał się na rękach i na kolanach do swego pana.

Długo nie mógł się nadziwować, jak strasznie pan się zmienił przez niecałe trzy miesiące. To nic, że osiwiał na bielusko. Wydawało się, że wszystko się w nim zupełnie odmieniło. Nic się nie zostało z dawnego pana dziedzica Złotowskiego, tak że dziwił się sobie Franek, poczym on go poznał. Wreszcie domyślił się — widział parę razy ojca dziedzicowego, który był już bardzo stary i mieszkał w Warszawie.

— Oj, bidaku ty, bidaku nieszczęsny! O, jakże cię zmarnowało...

A dziedzic otworzył oczy i spojrzał na Franka. Długo był wpatrzony, aż mu zaszły oczy łzami. Budził się w starej, pooranej twarzy jakiś wyraz, przebiegały po niej drgania, wreszcie wśród sieci zmarszczek ukazał się dobry uśmiech, jakiego nigdy Franek u dziedzica nie widywał. Twarz była strasznie stara, ale uśmiechało się w niej jakby małe dzieciątko, jeszcze nieświadome i głupiutkie. Poruszały się blade usta, szepcąc. Przyłożył Franek ucho do dziedzicowych ust i słuchał.

— To ty... Franek... To ty.

— Ja jezdem, panie dziedzicu. Bedziem znów razem, bo ja tyż chory. Bedziem razem.

— Ja... umieram... ja umieram... Lubisz mnie?

— Oj, panie dziedzicu, nieboraku nieszczęsny, toć cię lubię, a jakże... Jakże nie mam lubić? Toć kulasy sobie poutrącałem, a przyszedłem, bom już bardzo chciał.

Spojrzał pan na jego obandażowane nogi więc poznał Franek, że pan wszystko rozumie. Westchnął ciężko i uderzył się pięścią w piersi, aż się rozległo.

— Łajdak ja jestem grzeszny, panie dziedzicu, i złodziej niegodny. Toć ja wszystkie panowe rzeczy

przepiłem i przehulałem i nawet skrzynkę też. Djabli mnie pokusili, bom ze żalu już nie wiedział, co robić. Okropna żałość mnie trapiła, a te ścierwy podjudzały na największą rozpustę, Trygubow i ten nowy Mielniczenko, jeszcze gorszy niż tamten. Sam nie wiem, jak się to stało, więc daruj mi, panie dziedzicu, w tę ostatnią godzinę, daruj mi moje łajdactwo, bo już chyba nigdy nie zaznam spokoju...

Zaczął pan poruszać ustami, więc Franek znów przyłożył ucho i słuchał z otwartą gębą, pilnie, żeby nie uronić ani słowa.

— Głupi jesteś... Ukrzywdziłem cię... Ja cię w biedę... Na całe życie... To ja ci nakazałem... Na całe życie... Przeze mnie... Daruj, Franek... ja już nie pan... umieram... Nie tak, jak trza, wszystko idzie... Podły świat... Twoja chłopska krzywda... Daruj...

Przeląkł się bardzo Franek i nie wiedział, co dziedzicowi odrzec. Pogładził go po siwej spotniałej głowie i mówił, jak do dziecka.

— Będziem, panie dziedzicu, oba zdrowe, i oba jeszcze wrócim do Złotej Woli. Pan se będom wypoczywać po tej niewoli, a mnie staremu da pan rządca jaką lekką robotę przy ogrodzie, te ścieżki gracować, czy powrósła robić, czyli te orzechy, grzyby w lesie zbierać... ino za te miskę strawy...

— Głupiś. Jak wrócim... Będziesz ze mną we dworze, jak brat... Wielka moja wina... Jak wyżyję... wynagrodzę... A ty mi daruj...

— Nie trza, panie dziedzicu, żadnego darowania, dobry pan dla mnie, był zawsze, że lepiej nie trza było. Gdzie to kiedy jaki pan ze chłopem...

— ...Ja już nie pan... mów mnie na ty... Może wyżyję... wynagrodzę. Nie taki z tobą byłem, jak trza... przez siedmnaście lat! Mów do mnie na ty. Ja każę!

— Oj, poco tak... Jakże tak...

— Głupiś... Jak zamrę, a ciebie puszczą, pisz list do pani... lepiej do panienki, do Janki... Szczera dusza... Panicz, młody dziedzic, dziwny... Za mądry... Nie tacy my bywali... Pisz, niech ci na drogę pieniędzy... Pojedziesz... gruntu morgów dwadzieścia, drzewo na chałupę... Dwa konie, dwie krowy... Pieniędzmi też niech dołożą...

— Oj, za dużo, panie dziedzicu...

— Cicho bądź... Słuchaj! Młodemu panu wszystko opowiedz... Jak się męczył ojciec... W kajdanach... Hańba... Łeb ogolony... Rózgi... Po pysku prali... Wszystko opowiadaj... Naucz no... Niech ludzi uszanuje... Za późno wszystko... Siedmnaście lat myślałem... Dopiero w ostatniej godzinie... Niech wszystko inaczej... Ty przypilnuj!..

Szeptał jeszcze długo dziedzic, ale mimo wysiłku nic już nie mógł Franek wyrozumieć. Drgały jeno te sine usta, a oczy dziedzicowe już się raz wraz przymykały na ten wiekuisty sen.

Siedział chłop przez całą noc nad panem, patrzył na niego żałośliwie i wzdychał. Zapomniał o swoim bólu, co go rwał po okaleczonych nogach, i tylko wyczekiwał, czy nie otworzy pan oczów, czy jeszcze nie przemówi słowa.

Zdrzemnął się na chwilę nad ranem i przyśniło mu się, że jedzie ze snopkami z pola w duszny, gorący dzień przed burzą — już gdzieś daleko hurkoce po niebie. Ale obluzowało się coś we wozie, waży się wóz na stronę, a tu właśnie wypadła miedza. Śturk przedniemi kołami o miedzę i już wszystko na ziemi. Gramoli się z pod snopków. Aż tu wypadnie jak z pod ziemi sam dziedzic na Łysym.

— Ty, taki owaki... — Jak go utnie raz po razu po plecach, po tej przepoconej koszuli — jakby go kto ogniem sparzył.

Ocknął się Franek z tego bólu i widzi, wpatrzył się w niego dziedzic proszącemi oczami. Porwał się, nastawił ucho i słucha. Ucieszył się bardzo, bo zupełnie wyraźnie szepce dziedzic — znaczy się wyżyje.

— Pamiętasz — sprałem cię bykowcem, we zwózkę... Pilny był czas... Nie gniewaj się już, Franek... Ja już nie pan... Daruj w ostatnią godzinę... Bardzo pilny był czas... Burza szła... Już nikogo nigdy... W całej Polsce... Inaczej trza, inaczej... Już wszystko wiem... Siedemnaście lat...

Struchlał Franek i osłupiał na takie gadanie. Długo się nie mógł pomiarkować, że pan taką drobną rzecz w sobie wciąż pamiętał, choć przez siedemnaście lat ani słowem o tym nie wspomniał. Przestraszył się, że wiedział pan, co się jemu przyśniło. I poznał, że to już chyba ostatnia chwila, bo tylko w godzinę śmierci stają się między ludźmi takie dziwy. Zaczął tedy na głos mówić pacierz od Ojcze nasz aż do samego końca. A potym z płaczem w głosie powtarzał w kółko — Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie...

Dziedzic słuchał tego z uwagą wielką, aż oczy przymknął. Twarz mu się zmieniła, jeszcze bardziej przybladła, jeszcze bardziej się wyciągła. Mijał czas, a Franek wciąż się modlił, wciąż powtarzał, jak w zapamiętaniu, te swoje — Wieczne odpoczywanie.

I niewiadomo, jakby to długo trwało, gdyby nie przyszły aresztanty szpitalniki. Ściągli pana z tapczana, rozkuli i tegosamego dnia wywieźli go z katorgi na wieczną wolność.

Został Franek sam ze sobą i żył jeszcze długo, aż za długo. Ale nie doczekał ani wolności, ani obiecanych morgów, ani, krów, ani koni, z dóbr złotowskich. Nie był temu winien nieboszczyk pan, bo był na tamtym świecie, ani dziedzicowi spadkobiercy, którzy w świętości zachowali pamięć po

zmarłym, jeno nic nie wiedzieli o Franku, ani o ojcowym testamencie. Nie śmiał się chłop upominać, wstydził się głupi poprosić państwa o pomoc i tak mu zeszło to życie z dnia na dzień, na niczym. Już bardzo był stary, kiedy leżał chory ną ostatnią chorobę w szpitalu więziennym, ale do uwolnienia było wciąż jednakowo daleko, był bowiem skazany na całą wieczność — bez terminu. Niczego się tedy nie spodziewał i umarł sobie po chłopsku nieznacznie a cicho, nie pytając, czy było co warte, albo też komu na co potrzebne jego długie życie.